

Kupuj „Przekrój”
zawsze w poniedziałek

za **3,99** zł

Życie polityka
jest cenniejsze
niż Twoje

10

Adidas rozbił
się o mur

14

Ozon: gej,
który kocha
kobiety

30

PRZE KROJ

Jak zrobić idola

czyli skąd się
wziął Bieber
i jego klony

6

nr 14 (3432) / 4 KWIETNIA 2011 / CENA 3,99 zł
www.przekroj.pl w tym 8% VAT



1%

KRS 0000136833

To nie PAH karmi głodne dzieci. Robią to ludzie tacy, jak Ty.
Ludzie, dzięki którym świat staje się lepszy.
Przekaż 1% podatku PAH

PAH
czynimy świat lepszym
www.pah.org.pl/jeden-procent



**PRZE
KROJ**

Założył w roku 1945
w Krakowie redaktor
Marian Elle

„Przekrój” w sieci:

– Daaaawaj, Stasieeeeek, dawaaaaj!
– szeptał do siebie Stasiek i coraz mocniej napierał na łom, aż żyły mu nabrzmiwały na karku. Wreszcie głaz ustąpił, odsłaniając zapomnianą, zasypianą wśród ruin Miasta odnogę dawnego magazynu hurtowni. Powiew stęchłego powietrza szybko zgasił zapalkę, ale Stasiek zdążył dostrzec coś, co wprawiło jego serce w łomot. A zatem to nie legenda! Będzie bogaczem! Po omacku chwycił zafoliowaną paczkę i wyniósł ją na słońce.
– Bożesztyńmój, merlinki... Z brankami!... – chlipnął, padając na kolana. Pięćdziesiąt egzemplarzy „Przekroju”, wprost z drukarni, i to tych najcenniejszych – kultowy numer z 22 marca 2011 roku, z Marilyn Monroe na okładce. Ten, w którym ukazała się podobizna Staśka brontozaura (po nim matula dała imię Staśkowi, dobrowróźnie, na szczęście!). Pierwszy „Przekrojowy” rysunek Olafa Szewczyka, zanim jeszcze wygryzł Raczkowskiego... Na aukcji w Sotheby's nie dalej jak tydzień temu za zaplamioną stronę ze Staśkiem brontozaurem, nierówno wyrwaną, pomietą – muzeum Guggenheima zapłaciło 11 milionów euro! A tu Staśków pół setki!!! Nie o kreskę, genialną skądinąd, chodziło, nie o późniejszą sławę wielkiego artysty. Było w brontozaurzym ryjku Staśkowym, w uśmiechu jego nieodgadnionym, w spojrzeniu głębokim, przeszywającym – coś niepojętego. Był niczym Mona Lisa. Przyprawiał o dreszcze. Wruszał, katalizował, iluminował. Był Tajemnicą. I już wiedział Stasiek, że żadnego z tych bronków nie sprzeda świętokradczo. Ostrożnie odłożył paczkę i zasunął głaz.
I nie obchodził go już więcej ani www.przekroj.pl, ani Facebook, ani Twitter, ani Blip. Nawet na redakcja@przekroj.pl nie stał wyznań. Bo i po cholere. Albowiem był Stasiek odtań Staśkiem spełnionym. Prawdziwą emanacją, awatarem, nie imiennikiem tylko, Staśka nad Staśkami. Hosanna!

W T Y M T Y G O D N I U

SENSACYJNIE NIE PISZEMY...

...że premier przyciśnięty przez kwiat polskiej sztuki, puścił farbę i powiedział, kto jest wszystkiemu niedobremu winien. A winien jest średni i niski szczebel urzędniczy. *Caramba!* To teraz już wiemy, dlaczego za premierostwa owego premiera tylu urzędników przybyło. Bez nich cóż począłby dzisiaj?

...że pierwsza trajkotka Platformy jest szczęśliwie znacznie wyżej niż poziom średni i niski, więc jako pani minister Julia Pitera nie musi się premiera obawiać. A że właśnie po trzech latach pracy obwieściła, że tę ustawę antykorupcyjną, co to ją od trzech lat pisze,

już niedługo napisze, tylko nie wie dokładnie kiedy, spodziewamy się co najmniej orderu. Najlepiej orderu do śmiechu.

...że sprawy idą jednak do przodu i z wywiadu w „Rzeczpospolitej” dowiedzieliśmy się, że prześlepił się powtórnie przyście Chrystusa (elegancko zwane Paruzją). Aktualnym Chrystusem, ku naszemu zaskoczeniu, okazał się Tomasz Jastrun, który wypędzą PiS-owskie demony, tak jak jego poprzednik wypędzą przekupniów ze świątyni. Kto wypędził Jastrunowi rozum z głowy, tego niestety w „Rzpie” nie napisano.

...że na pocieszenie – w naszym cyklu Konferencji, których nie można ominąć – serwujemy dziś produkcję podmiotu o nazwie Krajowa Izba Gospodarcza Przemysł Rozlewniczy (poprawnie byłoby chyba: Krajowa Izba Gospodarcza Przemysłu Rozlewniczego, ale widać podmiot ma prezydenckie ambicje) „Od kropelki do butelki”. Rozumiemy, też tak zaczęliśmy.

...że i butelki czasem mało, by pojąć, jak cudowne będzie Euro 2012. Oto pewna spółka „tworzy specjalną kabinę prysznicową, którą będzie można zamontować

w wagonach pociągów kursujących pomiędzy miastami gospodarzami mistrzostw”, więc „kibice będą mieli możliwość odświeżenia się podczas podróży do kolejnego miasta gospodarza mistrzostw i ostudzenia emocji pomocowych”. Domyślamy się, że podczas Euro pociągi będą jeździć kilkakrotnie wolniej niż dziś, więc rozwiązanie to wydaje się absolutną koniecznością.

...że 1 kwietnia przyszedł i poszedł, wcale się mu nie dziwimy, bo w końcu – pisał pewien poeta – „najokrutniejszy miesiąc to kwiecień”.

MARCIN SENDECKI

MAREK RACZKOWSKI



LAST MINUTE KRZYSZTOF PLYTA

1 kwietnia ruszył spis powszechny. Wytyczne GUS: dane zebrane w prima aprilis zweryfikować!

TEMAT Z OKŁADKI

- 6 **Jak się robi idola?** O systemie produkcji nastoletnich gwiazd dziś i w przeszłości, jakie są sposoby i triki, jak zdobywa się małą publiczność, pisze Karolina Pasternak

PRZED WSZYSTKIM

- 10 **Życie ma swoją cenę.** Bardzo konkretną – 250 tysięcy złotych. Bliscy ofiar „zwykłych wypadków”, którzy nie dostali odszkodowań porównywalnych z „odszkodowaniami smoleńskimi”, domagają się sprawiedliwości od państwa. Tekst Marceliny Szumer i Kingi Graczyk
- 14 **Mur toru wyścigowego na Służewcu** okazał się za wysoki dla wyobraźni piarowców Adidasa. Dlaczego go nie przeskoczyli, wyjaśnia Anna Szulc
- 16 **Życie prywatne Mao Tse-tunga** było dotychczas absolutnym tabu. Teraz świat dowiaduje się, że przywódca Chin był nie tylko rewolucjonistą, ale też narkomanem i dewiantem. Czy w Chinach rozpoczyna się głośność? Zastanawia się Łukasz Wójcik

ROZMOWA PRZEKROJU

- 18 **Robert Mazurek** pyta Marcina Mellera, czy robi kampanię Tusku

CYWILIZACJA OD ŚRODKA

- 20 **Gadał dziad do obrazu...** A ten wreszcie mu odpowiedział! Wszystko dzięki Google. W świat gadających komputerów wprowadza nas Piotr Stanisławski
- 24 **Przeszczep twarzy jest już możliwy.** Ratuje życie ofiarom wypadków i chorým. Czy teraz stanie się również elementem chirurgii plastycznej,

- 26 **Żebyś wiedział**
28 **Też pytanie!**
29 **Korzystaj**

KONIEC Z KULTURĄ

- 30 **François Ozon, czyli zięć idealny.** I kto to mówi? Małgorzata Sadowska!
- 32 **Anna Jastrzębska pyta Artura Andrusa,** co śmieszy Polaków
- 34 **Dodatek specjalny „Off Camera”** w Krakowie. Przeczytajcie i oglądajcie!
- 40 **Lektura:** Katarzyna Janowska o festiwalu Transatlantyk rozmawia z Janem A.P. Kaczmarkiem

OTWÓRZ OCZY

- 44 **Co ma sztuka do nauki?** Na wystawie „Statek kosmiczny Ziemia” sprawdzał Stach Szablowski

RECENZJE

- 48 **Muzyka:** Winczewski słuchał Pinnaweli
- 49 **Film:** Kałużyński oglądał „Erratum”
- 50 **Teatr:** Drewniak widział „Amadeusza”
- 52 **Książki:** Mizuro przeczytała Łozińskiego

ZAWSZE W PRZEKROJU

- 53, 54, **Rozmaitości**
55, 58 z krzyżówką, Kronikami popkultury Orbitowskiego, Lewomyślnie Kurkiewicza, Ładnymi rzeczami Salwy i kuchnią Gesslera
- 56 **Diennik** Jerzego Pilcha
- 57 **Stopklatka**
3, 28, 58 **Raczkowski**

najważniejszą i chyba jedyną sprawą, która interesuje polityków. Najzwyczajniej nam przeszkadza, że w całym tym sporze już dawno przestało chodzić o ból po śmierci 96 pasażerów i członków załogi tupolewa. Irytuje nas to, że nawet ludziom, którzy niosą na ustach i transparentach (jeśli nie trzymają akurat pochodni) hasła o wielkiej stracie, wcale nie o nią chodzi. To jest wojna, a my z wojny wolimy się wypisać. Tak po prostu.

Z jednym wyjątkiem. Na stronie 10. piszemy o ludziach, na których tragedia narodowa wywarła szczególny wpływ. O tych, którzy postanowili upomnieć się o równe traktowanie. O odszkodowania za śmierć bliskich równe tym smoleńskim. Bo strata ojca czy syna boli przecież tak samo, niezależnie od miejsca jego śmierci. A do tej pory państwo jakby tego bólu nie zauważało. Jakby sądziło, że jest on mniejszy.

Nam się to nie podoba. I chyba nie tylko nam.



ADRES REDAKCJI:
ul. Nowogrodzka 47 A,
00-695 Warszawa,
tel. 22 525 99 33,
faks 22 525 99 88, www.przekroj.pl,
e-mail: redakcja@przekroj.pl
lub imie.nazwisko@przekroj.pl

REDAKTOR NACZELNY:
Artur Rumanek
ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
Donat Szyller
DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
Kasper Skirgajło-Krajewski
SEKRETARZ REDAKCJI:
Magda Gędziorowska, Piotr Witek
SEKRETARIAT:
Karolina Łajkowska, tel. 22 525 99 33

PRZED WSZYSTKIM: wydarzenia@przekroj.pl,
Mariusz Nowik (szef),
Łukasz Wójcik (zastępca szefa),
Agnieszka Fiedorowicz, Maciej Jarkowicz,
Rafał Kostrzyński, Anna Szulc,
Małgorzata Świąchowicz,
Joanna Woźniczko-Czczott;
stałe współpracują: Agata Jankowska,
Marcelina Szumer

CYWILIZACJA OD ŚRODKA: nauka@przekroj.pl,
Piotr Stanisławski (szef), Milena Rachid-Chehab,
Olaf Szwedczyk; stałe współpracują:
Irena Cieśliska, Urszula Dąbrowska,
Piotr Kossobudzki

KONIEC Z KULTURĄ: kultura@przekroj.pl,
Jacek Wakar (szef), Marcin Sendecki (zastępca szefa),
Tadeusz Nyczek, Karolina Pasternak,
Małgorzata Sadowska, Jacek Tomczuk;
stałe współpracują: Kuba Dąbrowski,
Łukasz Drewniak, Sebastian Frąckiewicz,
Mariusz Herma, Anna Jastrzębska,
Ola Salwa, Jacek Sieradzki,
Jarosław Szubrycht, Bartek Winczewski

ROZMAITOŚCI, KRZYŻÓWKI:
rozrywka@przekroj.pl, Marcin Pieszczyk;
stałe współpracują: Kaliber 45

PRACOWNIA GRAFICZNA:
Łukasz Lełonekiewicz, Bartek Frączyk,
Adam Szymański, Krzysztof Zakrzewski

FOTODZIECI: foto@przekroj.pl,
Marcin Kapica (szef), Marek Szczepański;
stałe współpracują: Anna Bajorek

KOREKTA:
Dorota Dul, Tatiana Hardej;
stałe współpracują: Kinga Grucha

PROJEKT GRAFICZNY:
Kasper Skirgajło-Krajewski

ARCHIWUM: Dominika Bok

OBROBKA ZDJĘĆ, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU: Andrzej Tchórzewski

STRONA INTERNETOWA I IPAD:
Marcin Cichoński, Marcin Kijowski (szefowie)
REDAKTORZY: Monika Hryck-Skowron,
Tomasz Róg, Maria Włodkowska
GRAFICY: Katarzyna Bazele, Jakub Bieda,
Martyna Marzec
MULTIMEDIA: Anna Bajorek, Mikołaj Toki



Wydawnictwo Przekrój Sp. z o.o.,
ul. Nowogrodzka 47 A,
00-695 Warszawa,
tel. 22 525 99 55, faks 22 525 99 88

WYDAWCA:
Grzegorz Hajdarowicz
PREZES WYDAWNICTWA:
Jan Godłowski

DYREKTOR WYDAWNICTWA:
Sławomir Mokrzycki

DYREKTOR DS. NOWYCH MEDIÓW:
Artur Rumanek

DYREKTOR PROGRAMOWA:
Katarzyna Janowska

PROMOCJA I MARKETING:
promocja@przekroj.pl,
Agata Stremiecka (szef), Jakub Maszkowski

BIURO REKLAMY:
reklama@przekroj.pl, Grzegorz Makowski,
p.o. dyrektora biura reklamy, 695 414 995,
Małgorzata Skorupa 601 432 821,
Beata Drogowska 785 855 883, Agnieszka
Pawelec 601 550 348, Elżbieta Smoleń
501 227 979, Eliza Zyromska 785 855 886

DYREKTOR DYSTYBUCYJNY:
Elżbieta Maciążek

DRUK: RR Donnelley

Artykułów niezamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian
i skrótów w nadesłanych artykułach i listach

6 x więcej



Teraz „Przekrój”
to więcej niż tygodnik.
Sprawdź! www.przekroj.pl
i App Store

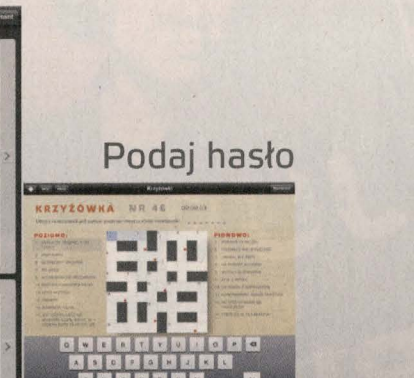
Codzienny tygodnik



Seria seriali



Poruszony Raczkowski



NA POCZĄTEK

Gdzie jest tupolew?



DONAT SZYLLER
ZASTĘPCA
REDAKTORA
NACZELNEGO

Dlaczego w tygodniu smoleńskim, tuż przed pierwszą rocznicą największej tragedii ostatnich lat, zrezygnowaliśmy z rocznicowej okładki? Bo mamy – serdecznie i szczerze – dosyć.

Dosyć mamy Smoleńską, który od roku nie schodzi z ekranów telewizorów i pierwszych stron gazet. Dosyć mamy klótni o to, czy winien jest Putin i jego sztuczna mgła, czy prezydent i „ładuj, dziadu”.

Dosyć mamy tego, że od 365 dni temat katastrofy jest



Rysunek
na okładce:
Janusz Wyrzykowski,
Studiolustracji.com

PRENUMERATA TYGODNIKA „PRZEKROJ”

PRZYZ WYDAWNICTWO – należy dokonać przelewu na konto: Wydawnictwo Przekrój Sp. z o.o., ul. Nowogrodzka 47 A, 00-695 Warszawa, Alior Bank SA 80 2490 0005 0000 4600 1542 1792 i wysłać dowód wpłaty faksem: 22 525 99 88 lub e-mailem: prenumerata@przekroj.pl. Cena prenumeraty w 2011 r.: rocznej – 166,40 zł, półrocznej – 83,20 zł. Informacji udziela Dział Dystrybucji tel. 22 525 99 69 Prenumerata przez Ruch SA – RUCH SA prenumerata krajowa – 804 200 600, prenumerata zagraniczna – (+48) 22 532 88 16; 22 532 88 23, www.ruch.pl

DOSTĘP NA STRONĘ WWW I WERSJA NA IPADA

Cena abonamentu na iPada i w Internecie: tygodniowy – 3,69 zł, kwartalny – 30,75 zł; roczny (z rabatem 30 proc.) – 99 zł. Do wykupienia na www.przekroj.pl oraz w App Store. Informacje: wsparcie@przekroj.pl

Jak się pędzi Bieber?

Żeby na nim zarobić, trzeba wiedzieć, jak sprzedać idola w sieci. Jeśli myślisz, że Justin Bieber to następna Hannah Montana, jesteś w błędzie. Montanę – jak wódkę – wyprodukowała korporacja, a bohatera filmu „Justin Bieber: Never Say Never” – jak bimber – zwykli śmiertelnicy

KAROLINA PASTERNAK



Los Angeles, 8 lutego 2011 roku: za chwilę odbędzie się premiera epokowego filmu „Justin Bieber: Never Say Never”

Jeśli dotąd nie natknąłeś się na Justina Biebera, najprawdopodobniej mieszkasz na bezludnej wyspie bez dostępu do prasy, telewizji i Internetu, na którą ten egzemplarz „Przekroju” rzuciła zabłąkana polska mewa. Piosenki Biebera bowiem od miesięcy okupują pierwsze miejsca listy „Billboardu”, wokalista gościł u Baracka Obamy w Białym Domu, u Davida Lettermana w „The Late Show”, bilety na jego koncert w legendarnej, mieszczącej 20 tysięcy widzów hali Madison Square Garden w Nowym Jorku wyprzedziły się w ciągu dwóch godzin. Ma ponad 24 miliony fanów na Facebooku, 8,5 miliona osób obserwuje jego konto na Twitterze, a od momentu, gdy dokładnie przed godziną zajrzałam do tego serwisu, wielbiciele zostawili tam dla niego 4353, nie, 4368, przepraszam – 4375 wiadomości... Poddaję się! Dokładnych danych nie sposób podać, bo liczba tweetów adresowanych do Biebera rośnie z sekundy na sekundę.

Nic więc dziwnego, że Justin Bieber wyprzedził zarówno prezydenta Stanów Zjednoczonych, jak i Dalajlamę, o czym informuje portal Klout.com, który na podstawie takich przesłanek jak między innymi częstotliwość pojawiania się w wyszukiwarkach internetowych, liczba fanów w serwisach społecznościowych i intensywność interakcji z idolem bada, kto ma największy wpływ na opinie internautów. Z kolei portal Celebritynetworth.com oszacował wartość gwiazdora na 65,5 miliona dolarów, czyli 188 milionów złotych – kwotę niewiele mniejszą od tej, którą na działalność kulturalną w 2011 roku wyda Warszawa (207 milionów złotych) czy Kraków (219 milionów złotych; dane za uchwałami budżetowymi tych miast).

Justin Bieber urodził się 17 lat temu w liczącym 20 tysięcy mieszkańców Ontario w Kanadzie. Zaledwie trzy lata temu jego pu-

bliczność stanowili uczestnicy miejscowych konkursów wokalnych, wychowująca go samotnie mama i jej nieodłączny atrybut – kamera, którą krok po kroku dokumentowała ścieżkę Biebera od zera do bohatera i dzięki której w „Justin Bieber: Never Say Never” (w kinach od 25 marca) fani mogą zobaczyć gwiazdora show-biznesu jako słodkiego kilkuletniego chłopca godzinami walącego w perkusję w domowej piwnicy, kopiącego piłkę, grającego na gitarze dla przechodniów i kolegów. Ot, dzieciak, jakich wiele.

Jak to się stało, że ten chłopak został idolem milionów nastolatków na świecie? Odpowiedź znajduję w tekstach jego piosenek odsłuchiowanych dziś w YouTube częściej niż przeboje The Beatles (hit „Baby” ma pół miliarda odsłonek, a „Help” – osiem i pół miliona). Pisanych oczywiście przez samego Biebera.

„Oddam wszystko to, co mam, to moje przeznaczenie”

Zaczął się od udostępnienia przez Mallette Bieber, matkę gwiazdora, prywatnych filmów z jego udziałem w sieci. Jeden z nich, na którym Justin śpiewa „Respect” Arethy Franklin, zobaczył menedżer i łowca talentów z Atlanty Scooter Braun, którego zarobków oszacować nie sposób, bo są tajne, ale dziś z pewnością niewiele odstają od dochodów jego podopiecznego. Bieber miał już wtedy w serwisie YouTube rzeszę wielbicieli. Braun natychmiast zaczął poszukiwania dziecka i sprowadził go na przesłuchania do Atlanty – tylko po to, by dowiedzieć się, że żaden poważny producent muzyczny nie jest zainteresowany anonimowym 12-latkem z miasteczka leżącego nie wiadomo gdzie. Wtedy znany w branży z niekonwencjonalnych pomysłów menedżer zastosował nowatorską strategię promocji – wyłącznie

w portalach społecznościowych. – Moje założenie było proste: włącz konsumenta w proces tworzenia gwiazdy, spraw, by czuł, że przyczynił się do jej sukcesu – tłumaczył Braun w wywiadzie dla „Greenwich Magazine”.

Pamiętacie z „The Social Network” błyskotliwą przepowiednię (granego przez Justina Timberlake’a) współtwórcy Facebooka Seana Parkera? „Żyliśmy na wsi i w miastach, a teraz będziemy mieszkać w Internecie”. Cóż, od chwili spotkania z Braunem życie Justina Biebera jest jej wypełnieniem co do joty. Bieber nie wydał jeszcze albumu, ale każdą napisaną przez niego piosenkę Braun natychmiast umieszczał w YouTube. Jeszcze nie interesowały się nim poważne media, ale nastolatek zapisywał swoje przemyślenia w świeżo założonych na Facebooku i Twitterze profilach. Razem z informacjami

o tym, w której stacji będzie grał na żywo (Braunowi coraz częściej udawało się zainteresować chłopcem małe internetowe rozgłośnie) i gdzie rosnąca rzesza nastoletnich fanek będzie mogła go podziwiać. Doszliśmy do miejsca, w którym drogim czytelnikom z bezludnej wyspy bez dostępu do sieci należy wytłumaczyć, że Justin Bieber – zanim styliści zrobili z niego chodzącą reklamę modnych ciuchów i fryzur – był po prostu cudnej urody chłopcem, idealnym odtwórcą roli Doriana Graya. Co z kolei tłumaczy to, że nastolatkom szybko przestały wystarczać zdjęcia, filmiki i dziennik prowadzony przez ich idola w Internecie. A jak bardzo pragnęły wziąć „wszystko, co ma do oddania”, o czym śpiewa w „Never Say Never”, świat dowiedział się podczas promocji jego debiutanckiego krążka „My World”. Podpisywanie →

REKLAMA

Uczelnia promuje odpowiedzialność społeczną

Odpowiedzialność społeczna to zaangażowanie każdego człowieka w kreowanie lepszej rzeczywistości społecznej. Dzięki dofinansowaniu z Europejskiego Funduszu Społecznego taką postawę promuje Wyższa Szkoła Pedagogiczna TWP w Warszawie realizująca projekt „Społecznie odpowiedzialna uczelnia”. Jego celem jest upowszechnianie innowacyjnych rozwiązań w obszarze polityki społecznej. Jednym z jego rezultatów jest międzynarodowa konferencja „Współczesna

polityka społeczna”, podczas której najwyższej klasy eksperci polscy i zagraniczni (m.in. prof. Nicholas Barr z London School of Economics) będą dyskutowali o problemach polityki społecznej. Patronat honorowy nad konferencją objęło m.in. Ministerstwo Pracy i Polityki Społecznej oraz Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Patronem medialnym jest tygodnik „Przekrój” oraz magazyn „ThinkTank”. Konferencja odbędzie się w dniach 6–8 kwietnia 2011 roku w Hotelu InterContinental w Warszawie.



KAPITAŁ LUDZKI
NARODOWA STRATEGIA SPÓJNOŚCI



→ albumu na Long Island musiało zostać odwołane, bo policja nie była w stanie zapanować nad fankami Biebera, które desperacko próbowały znaleźć się jak najbliżej gwiazdora. Dwa dni później na lotnisku w Auckland jedna z nich powaliła towarzyszącą mu matkę, dopadła go i uciekła, dzierżąc w dłoni zerwaną z głowy ukochanego czapkę. Oczywiście nie był to jedyny taki incydent. I w gruncie rzeczy mieścił się w ramach przygotowanej przez Brauna strategii.

„Jeśli wpuścisz mnie do swojego świata, będzie o jedną samotną dziewczynę mniej”

Ten cytat to fragment „One Less Lonely Girl” z pierwszego albumu Biebera. Na koncertach wykonaniu tego utworu towarzyszy już rytuał. Na scenę zapraszana jest wybrana przez ekipę nastolatka. Siada na scenie, a Justin od tej pory śpiewa tylko dla niej, wręcza jej bukiet czerwonych róż, głaszcze ją po twarzy, przytula. Znać zafascynowaną idolem dziewczynkę, która nie pójdzie na koncert, jeśli istnieje szansa, że zostanie na nim tą „jedną samotną dziewczyną mniej”? Ten haczyk na fanki miał ponoć wymyślić sam Justin, ale po lekturze wywiadów ze Scooterem Braunem dość trudno w to uwierzyć. – Jaki jest przepis na idealne after party? – pytał niedysiejszego organizatora imprez dla Britney Spears i gwiazd NBA dziennikarz „Greenwich Magazine”. – Dziewczyny. Przede wszystkim musisz mieć więcej dziewczyn niż kobiet – odpowiadał Braun.

We fragmentach „Justin Bieber: Never Say Never” z koncertu w Madison Square Garden doskonale widać, że widownia Biebera to niemal wyłącznie dziewczynki, które na koncerty są przyprawiane przez mamy, również zauroczone idolem. Bo Bieber to złoty chłopiec. Nie wyobraża sobie seksu bez miłości, nie



Młody artysta tańcem i piosenką niesie światu radość. Na fotografii radość spływa na widownię paryskiej hali Bercy

bierze narkotyków („Rolling Stone”), jest przeciw aborcji, nawet jeśli ciąża była wynikiem gwałtu („Vanity Fair”). I choć znużeni jego nienaganną reputacją internauci co chwila robią mu w sieci kompromitujące żarty (na przykład ustawiając w przeglądarce Google.com jako pierwszą pojawiającą się na zawołanie „Justin Bieber Syphilis”), Bieber niezmordowanie dementuje wszystkie plotki. Pozostaje chłopcem bez skazy. Zresztą kiedy i gdzie miałby się ich nabawić? W filmie widzimy wprowadzić sekwencję z tak zwanego normalnego życia gwiazdy, w której Justin udaje się do rodzinnego miasteczka, żeby pograć z kolegami w kosza i powłóczyć się po Ontario. Co z tego, skoro w wyniku tego wyjazdu łapie infekcję gardła (za dużo krzy-

czał z kolegami) i o mały włos nie zostaje zmuszony do odwołania występu życia w Madison Square Garden. Kiedy więc następnym razem jego nauczycielka śpiewu, Braun i Ryan Good, zatrudniony przez menedżera gwiazdy specjalista od wizerunku i – jak dowiadujemy się z filmu – nieodchodzący od niego nawet na krok kumpel do zabawy, zalecają Justinowi, żeby nie rozmawiał z rówieśnikami, lecz korespondował z nimi w sieci, chłopiec pokornie pochyla głowę nad iPhone’em. Liczba statusów w facebookowym profilu Biebera w niedzielę 27 marca 2011 roku? Pięć. Średnia liczba „lajków” – 30 tysięcy (!), średnia liczba komentarzy – od 3 do 10 tysięcy. Bieber w każdym wywiadzie podkreśla, że próbuje je wszystkie czytać, na niektóre posty rzeczywiście

odpowiada, co podniecone fanki komentują później długie tygodnie w sieci. Robiąc tym samym wokół gwiazdy szum, darmową reklamę i uświadamiając tym, którzy jeszcze nie wiedzieli o istnieniu Justina Biebera, że jest wielki. Im bliżej mu do ideału nastolatka, tym dalej od rzeczywistego kontaktu z nimi. Cytując Biebera:

„Nigdy nie miałem siły, aby wznieść się wyżej, do momentu, kiedy doszedłem do punktu bez odwrotu”

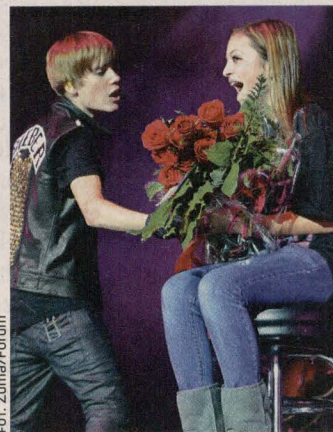
Tak się składa, że gdy potraktować to egzaltowane wyznanie nastolatka z „Never Say Never” jako metaforę, okazuje się ono genialnie prostym wyjaśnieniem fenomenu o nazwie Justin Bieber. Stary model produkcji i promocji idoli rzesz nastolatków po prostu

się wyczerpał czy – używając słów artysty – doszedł „do punktu bez odwrotu”. Z wielu powodów. Nastolatki w ogóle nie słuchają radia, które wywindowało na szczyt Elvisa Presleya czy The Beatles. Telewizja, która od lat 70. (kariera Jackson 5, a później samego Jacksona) aż do pojawienia się Justina Biebera była główną platformą promocji nastoletnich gwiazd, po raz pierwszy w historii zaliczyła w minionym roku spadek liczby widzów w grupie 12–17 lat (według Nielsen Research nastolatki oglądają telewizję 25 godzin tygodniowo, osoby między 25. a 34. rokiem życia spędzają przed telewizorami 10 godzin więcej!).

Problem z ostatnią generacją telewizyjnych idoli: Miley Cyrus, Zakiem Efronem czy Vanessą Hudgens, był też taki, że stacja odpowiedzialna za ich sukces – w tym przypadku Disney – praktycznie przejmowała kontrolę nad ich życiem, tworząc im wyidealizowane ekranowe osobowości – Hannah Montanę czy bohaterów „High School Musical”. Im bardziej korporacja naciskała na ich nieskazitelność, tym więcej płam pojawiało się na ich prawdziwych życiorysach. Przypominać sobie aferę wokół Miley Cyrus pokazującej nagie ciało w sesji dla „Vanity Fair”? To z kolei zniechęcało do idoli słuchaczy i widzów, którzy z dużo większą łatwością niż kiedyś wyrażają dziś przeciętne opinie o gwiazdach. Również te negatywne. Wyobraźcie sobie, że fance The Beatles w latach 70. zostałyby pokazany prototyp Twittera, na którym miałyby napisać prywatną wiadomość do Johna Lennona albo Paula McCartneya, którą mogliby czytać wszyscy jej znajomi – prędzej spaliłyby się ze wstydu, niż napisała choć słowo. Przecież to dopiero blogi i serwisy społecznościowe stworzyły nowy model fana – aktywnego, narcystycznego, który klikając i twittując, ma poczucie, że daje anonimowym talentom z YouTube szansę na sukces. Geniusz autorów sukcesu Justina

Biebera, czyli w głównej mierze jego menedżera Scootera Brauna, choć także gwiazdy r&b Ushera (który go poparł, kiedy nikt go jeszcze nie znał), polega na tym, że dostrzegli potencjał sieci.

Dziś w ślady Biebera chce iść oczywiście cały Internet. W sieci aż roi się od plików wideo zatytułowanych „next Justin Bieber” („następca Justina Biebera”), a z bohaterką jednego z nich, 10-letnią Heather Russell, kontrakt podpisał właśnie Simon Cowell, twórca i juror brytyjskiego „The X-Factor”. Od kilku dni Heather ma więc konto na Twitterze, na którym jedną z pierwszych



O jeszcze jedną „samotną dziewczynę mniej”. Tym razem w Camden w New Jersey

wiadomości adresowała oczywiście do Biebera: „Cześć, Justin, śniło mi się, że grałam piosenkę, podczas gdy ciebie gonił tłum dziewczyn”. Na razie jej profil obserwuje 50 osób. Zobaczymy, co się stanie, gdy Cowell zacznie robić wokół dziewczynki szum w sieci.

„Zamykam oczy i widzę lepszy dzień, zamykam oczy i modłę się”

Czy talent nie ma w tej całej zabawie żadnego znaczenia? Oczywiście, że Bieber to piekielnie zdolny dzieciak. Gdy zobaczycie którykolwiek z krążących w Internecie filmików ze śpiewającą dorosłym głosem Heather, ciarki też pewnie przejdą wam po plecach. Ale czy

takich dzieciaków nie ma w sieci na pęczki? Czemu więc właśnie te, a nie inne robią kariery? Ba, jakim cudem słowa Justina Biebera, których wiele mówiącą próbkę dostarczyłam wam w tym tekście, mają dziś większą siłę oddziaływania w sieci niż opinie Dalajlamy czy amerykańskiego prezydenta?

– Etap rozwoju, na którym znajdują się dziś serwisy społecznościowe, jest punktem, w którym radio było w roku 1912, a telewizja w 1950. Niby już istniały, ale nikt na dobrą sprawę nie wiedział jeszcze, jaki tkwi w nich potencjał. Jesteśmy na samym początku drogi zrozumienia, jaki wpływ na naszą rzeczywistość będą miały w najbliższym czasie te serwisy – twierdzi specjalizujący się w cyfrowych mediach profesor Sree Sreenivasan z Columbia University. – Jedno, co wiemy już dziś na pewno, to to, że w Internecie, który jest przeładowany informacjami, odbiorcy będą poszukiwać coraz częściej indywidualnych głosów, przewodników pozwalających im odnaleźć się w gąszczu treści, których będą słuchać i z którymi sami zechcą dzielić się przemyśleniami – twierdzi Sreenivasan. Takich jak Bieber.

Cóż, zanim telewizja wypromowała Jackson 5 i samego Jacksona, wywindowała całe masy Davidów Cassidy i Tanii Tucker, o których mało kto dziś pamięta. Gdy spojrzeć na ewolucję amerykańskiej telewizji na przestrzeni ostatnich 50 lat – od promotora najtańszej rozrywki spod znaku głupawych teleturniejów po producenta najambitniejszych filmowych treści początku XXI wieku, czyli seriali – widać, jak bardzo krajobraz mediów się zmienia. Pewnie i Internet „dojrzeje” i „zmańdrzeje” na tyle, by następcy Biebera byli w nim jednak mniej wpływowi niż przywódcy religijni i prezydenci. Jak śpiewa Justin Bieber: „Nigdy nie mów nigdy”.



Jak się robi idola? Zobacz krótki instruktaż wideo na www.przekroj.pl oraz w „Przekroju” na iPadzie

REKLAMA

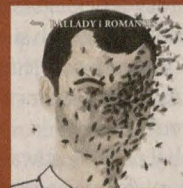
BALLADY I ROMANSE

NOWY ALBUM
ZAPOMNIJ

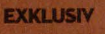
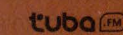
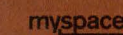
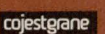
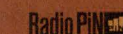
PREMIERA
29 MARCA



W sprzedaży
dostępna również



Dofinansowano ze środków
Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa
Narodowego



Śmierć śmierci nierówna

Życie polityka, który zginął w smoleńskiej katastrofie, jest cenniejsze niż zwykłego Polaka. A ból jego rodziny większy. Tak wynika z orzeczeń sądowych. Bo inni o odszkodowania za śmierć bliskich muszą walczyć latami

MARCELINA SZUMER, KINGA GRACZYK

Tadeusz Zawora oddałby wszystko, żeby jego syn żył. Codziennie wpatruje się w jego zdjęcie. Uśmiechnięty Andrzej w siłowni, którą urządził w domu, skupiony nad książkami, z gitarą. Interesowały go tysiące rzeczy, lubił się śmiać. I kapitalnie ze wszystkimi się dogadywał.

Andrzejowi już nic nie wróci życia, a w ojcowskiej głowie kłębią się pytania. Na przykład to, czy śmierć jego syna jest mniej ważna niż śmierć ludzi, którzy zginęli na pokładzie prezydenckiego tupolewa.

Rodzina Zaworów właśnie zażądała odszkodowania za wypadek syna. Po 250 tysięcy złotych na osobę. Dokładnie tyle, po ile od państwa dostali bliscy ofiar smoleńskiej katastrofy.

Dlaczego go nie ma?

Świat pana Tadeusza zawałił się 21 sierpnia 2010 roku, czyli cztery miesiące i 11 dni po wypadku prezydenckiego samolotu. Tego dnia w tłum osób bawiących się na festiwalu rockowym w Cieszanowie wjechał pijany kierowca. 19-letni Andrzej Zawora z Lubaczowa zginął na miejscu.

– Pojechał na ten festiwal pod namiot z kolegami. To miała być nagroda za to, że tak nam w domu pomagał – wspomina Tadeusz Zawora. Siedział przed telewizorem, gdy odebrał telefon, że syn miał wypadek.

Andrzej był najstarszym i najzdolniejszym dzieckiem państwa Zaworów. Na świadectwie od góry do dołu piątki, biegła znajomość włoskiego i angielskiego. W październiku zacząłby studia na wydziale budownictwa Politechniki Rzeszowskiej. Już wcześniej łapał dorywcze prace, by wesprzeć finansowo pięcioosobową rodzinę. Rodzeństwo Artur i Ola właśnie od niego dostawało kieszonkowe.

Pani Małgorzata, matka chłopaka, do dziś nie może się pozbierać. Nie wróciła do pracy (była zatrudniona w hospicjum), cierpi na depresję. – Żona nie śpi po nocach, a gdy przy-

chodzi niedziela, pyta: „Gdzie jest Andrzej?”, „Dlaczego go nie ma?”. I tak w kółko – opowiada Tadeusz Zawora.

On nie może sobie pozwolić na słabość – po śmierci syna jest jedynym żywicielem rodziny. Kiedy żył Andrzej, pracowała cała trójka (on i rodzice). Dziś rodzina musi się utrzymywać z wynoszącej nieco ponad tysiąc złotych pensji pana Tadeusza.

Dokładnie miesiąc temu kancelaria reprezentująca Zaworów wysłała do ubezpieczyciela pijanego kierowcy (HDI Asekuracja Towarzystwo Ubezpieczeń SA) list z żądaniem odszkodowania. Odpowiedź powinna nadejść lada dzień. Jeśli będzie negatywna, Zaworowie pójdą do sądu.

W piśmie czytamy, że „wszyscy obywatele w obliczu doznanej krzywdy moralnej i cierpienia fizycznego są równi wobec prawa i jako tacy powinni być jednakowo traktowani”. Do czasu smoleńskiej katastrofy prawo rzeczywiście traktowało obywateli jednakowo. Po macoszemu.

Z halą runął ich świat

Godzina 17.15, 28 stycznia 2006 roku, hala Międzynarodowych Targów Katowickich. Trwa wystawa gołębi pocztowych. Nagle pod ciężarem śniegu na zgromadzonych w budynku wali się dach. Bilans katastrofy: 65 zabitych, ponad 140 rannych.

Politycy spieszą z deklaracjami: będzie pomoc, będą odszkodowania. Na razie – choć od katastrofy minęło w tym roku pięć lat – jest tylko rozczarowanie. – W styczniu chciałem zapalić znicz w miejscu tragedii. Był tam przedstawiciel ambasady Niemiec, bo w hali zginął ich obywatel. Z naszych oficjeli nie było nikogo – mówi Marcin Marszołek, prezes stowarzyszenia Wokanda z Katowic, które reprezentuje w sądzie 38 rodzin ofiar. Oni sami nie chcą już rozmawiać o tym, że nie dostali od państwa takiej pomocy, jaką im obiecywano.

Dlatego po pięciu latach od tragedii zażądali od Skarbu Państwa odszkodowań za śmierć swoich bliskich. Część wniosków już jest w sądzie, reszta lada chwila zostanie złożona. Kwota? Również 250 tysięcy złotych. – Ktoś mógłby pomyśleć, że to skok na kasę. Ale proszę zrozumieć rozżalenie tych osób. Stracili bliskich w katastrofie, a czym ich ból różni się od bólu, który odczuwają rodziny ofiar katastrofy smoleńskiej? A jednak państwo polskie uważa, że jest mniejszy – denerwuje się Marszołek i przytacza przykłady wprost z sądowej sali. Dziecko nie dostało odszkodowania, bo zdaniem wymiaru sprawiedliwości skoro odziedziczyło po śmierci ojca sto hektarów ziemi, to jego sytuacja materialna się poprawiła.

Dlaczego rodziny ofiar chcą odszkodowań od Skarbu Państwa, a nie od zarządu hali MTK? – Bo należy być konsekwentnym – odpowiada Marszołek. – Mówi się: przecież w tej sprawie znaleziono winnych, niech oni płacą. Ale skoro w przypadku smoleńskiej katastrofy, której winnych oficjalnie nie ma, państwo uznało, że winno wypłacić odszkodowania, to dlaczego w przypadku tragedii w hali miałyby być inaczej? Co mogą czuć ci ludzie, kiedy kilka miesięcy po katastrofie smoleńskiej słyszą, że państwo zapłaci tamtym rodzinom po 250 tysięcy złotych na osobę? – denerwuje się prawnik. I nie przebiera w słowach. Jego zdaniem to nie tylko pokazywanie, że w Polsce są równi i równiejsi, ale też „zwykłe chamstwo aparatu państwa”. – Wystarczy znane nazwisko, pozycja, by pieniądze ci się należały. Jeśli jesteś anonimowy, zostajesz sam – irytuje się mecenas.

Chociaż bywają wyjątki. Zależy, kto ma płacić.

Państwo to nie firma

Wygląda na to, że jeśli stratę ma zrekompenzować prywatny ubezpieczyciel, a nie Skarb



Do czasu tragedii smoleńskiej prawo traktowało bliskich ofiar wypadków i katastrof jednakowo. Czyli po macoszemu

Państwa, śmierć bliskiej osoby nagle staje się bardziej dotkliwa.

Sąd nie kwapił się na przykład przyznać odszkodowania rodzinie motocyklisty, którego w 2006 roku w Chodlu na Lubelszczyźnie zastrzelił policjant. Trwała oblawa na bandytów, 21 latek nie zatrzymał się na wezwanie policji. Dostał dwie kule, zmarł. Choć z przestępcami nie miał nic wspólnego, sąd uznał, że rodzinie pieniądze od Skarbu Państwa się nie należą.

Ale już Hanna H. z Warszawy w swoim nieszczęściu miała więcej szczęścia (czyżby dlatego, że płacić miała prywatna firma?). Prawomocnym wyrokiem sądu dostała aż milion złotych odszkodowania (500 tysięcy złotych plus odsetki liczone od dnia złożenia pozwu) za śmierć męża, który 10 lat wcześniej zginął w wypadku samochodowym (na jednym z warszawskich skrzyżowań wjechało w niego inne auto). Kobieta przez dekadę udawała w różnych sądach, że po śmierci męża – mendedera zarabiającego 40 tysięcy miesięcznie – jej status materialny znacznie się pogorszył. Dla sędziów to nie był argument. Hanna usłyszała nawet na sali sądowej, że skoro jest młoda i ładna, to odszkodowanie jej się nie należy, bo na pewno ułoży sobie życie z innym mężczyzną.

W końcu jednak warszawski sąd apelacyjny nakazał PZU (tam sprawca wypadku miał wykupione OC) wypłatę odszkodowania. Gdyby nie wyrok Sądu Najwyższego, do którego odwołał się ten właśnie ubezpieczyciel, kobieta dostałaby aż półtora miliona złotych, bo tak hojny okazał się sąd niższej instancji. – Skąd sądy biorą te kwoty? Na jakiej podstawie je wyliczają? Czy ból może mieć charakter mierzalny finansowo? Moja odpowiedź jest taka: to kwoty z sufitu, zależne od tego, czy pan sędzia wstał prawą, czy lewą nogą – oburza się Marszołek. Według niego dotychczasowe orzecznictwo w sprawach odszkodowań jasno wskazuje na potrzebę zmiany prawa. – Wysokość rekompensat powinna być usztywniona. To znaczy w ustawie winna być oznaczona kwota minimalna, na przykład sto tysięcy złotych.

Po co usztywniać stawki? Bo są tacy, którzy dostali za śmierć bliskich... 12 złotych.

Casus casy

– Jedyne pieniądze, jakie nam wypłacono, to zasiłki pogrzebowe dla oficerów, około 11 tysięcy złotych. To suma, która w teorii ma pokryć na przykład koszt nagrobka. Ale nim dostałyśmy te pieniądze, Ministerstwo

Obrony Narodowej potrafiło z nich, za co się dało: za wieńce, które dowództwo składało na grobie, flagi, poduszki na trumny. Dostałyśmy szczegółowe wyliczenia tych potrąceń. W jednym przypadku kwota wypłacona rodzinie wyniosła 12 złotych – mówi „Przekroju” jedna z wdów po oficerze, który zginął w katastrofie casy pod Mirosławcem.

Była godzina 19.07 23 stycznia 2008 roku. Obok lotniska w Mirosławcu spadł wojskowy samolot Casa C-295 M o numerze bocznym 019. Na pokładzie znajdowało się 20 osób (4 członków załogi, 16 pasażerów), w większości wysokich rangą oficerów, którzy tego wieczoru wracali z konferencji poświęconej bezpieczeństwu lotów.

Katastrofa – podobnie jak ta w hali MTK – wywołała lawinę obietnic adresowanych do wdów i sierot po tragicznie zmarłych oficerach. – Każdy wymiar pomocy, jaki będzie potrzebny, zostanie zapewniony – obiecywał szef rządu Donald Tusk. Zapewniał też, że rodziny poszkodowanych w wypadku są objęte opieką psychologa. Wiele mogło wskazywać na to, że MON zadba szczególnie o ten aspekt (wszak resortem kieruje psychiatra). – Opieka psychologów? Po prostu żalosne. Raz do roku ktoś dzwoni do mnie i pyta, →

→ czy wszystko w porządku – relacjonuje jedna z wdów. Nawet dziś, po przeszło trzech latach od katastrofy, kobiety wolą o tych sprawach rozmawiać anonimowo. Nie tylko nie czują i nie czuły żadnej pomocy ze strony rządu, ale wręcz czuły się w niektórych przypadkach zaszczone przez urzędników i wojskowych. – W dniu, w którym zginął mąż, czekałam na oficjalną delegację, która poinformuje mnie, co się stało. Ja już wiedziałam wcześniej. Chcąc chronić dzieci, powiedziałam im, że tatuś odleciał do nieba. A tu przyjeżdża pani psycholog, podchodzi do nich i mówi: bardzo mi przykro, ale wasz tatuś nie żyje! To właśnie była ta pomoc – wspomina jedna z kobiet.

Pomocowy zapal szybko minął, politycy w kółko powtarzali frazesy o „wielkiej lotniczej rodzinie”, tylko zapomnieli, że po śmierci bliskich niektóre z tych rodzin nie mają gdzie się podziać. Mieszkania, które zajmowały, były lokalami rotacyjnymi, przydzielanymi konkretnym żołnierzom, które po ich śmierci już im nie przysługiwały. A mimo to kiedy rodziny ofiar katastrofy wojkowego samolotu wystąpiły do MON z wnioskami o wypłatę odszkodowań ze Skarbu Państwa, nie szcędzono im złośliwości. Niejednokrotnie słyszały, że robią „skok na kasę” (taki był wydźwięk programów publicystycznych, w których była mowa o odszkodowaniach, podobnego zdania był też mecenas Rafał Rogalski reprezentujący bliskich ofiar katastrofy pod Smoleńskiem), bo pieniędzy zaczęły się domagać dopiero po trzech latach od wypadku, gdy państwo obiecało odszkodowania rodzinom smoleńskim. – Po prostu zrozumieliśmy, że jeśli tego nie zrobimy, zostaniemy z niczym – mówi jedna z wdów.

Kobiety, choć wielokrotnie namawiano je na wywiady, nigdy się na nie nie zgadzały. Jak mówią, nawet po podpisaniu pierwszej części ugód z MON (28 lutego podpisały je 23 osoby, każda z nich dostanie – podobnie jak członkowie rodzin smoleńskich – po 250 tysięcy złotych), bały się, że gdy opowiedzą o tym, jak je traktowano, resort Bogdana Klicha wycofa się z reszty wypłat. Mimo że adwokat wdów składał w sądzie wniosek o wyłączenie jawności postępowania, wysokość odszkodowań przedostała się do publicznej wiadomości.

Ani męża, ani ojca

– Wiem, że nie tylko mnie boli. Boli każdego, kto traci bliskich, czy to w wyniku katastrofy lotniczej, czy w wypadku samochodowym. Dlatego staram się nie obnosić z bólem i rozpaczą – mówi Małgorzata Wassermann, praw-



Tadeusz Zawora domaga się odszkodowania za śmierć syna. Po ćwierć miliona na członka rodziny

niczka, córka tragicznie zmarłego Zbigniewa Wassermann z PiS. – A boli każdego dnia. Mija rok i w ogóle nie jest lepiej. Teraz jest nawet gorzej. Bo minął szok związany z ogromem katastrofy, a pustka została. Mnie dopiero teraz odblokowuje się pamięć. Widzę ojca w rozmaitych codziennych sytuacjach: przy zlewie w kuchni, przy szafce. Przypominają mi się różne sceny, nasze żarty, wygłupy – opowiada pani Małgorzata. – Tata, choć nie było tego widać w telewizji, miał fantastyczne poczucie humoru. Mieliliśmy żarty rozumiałe tylko dla domowników. On mi opowiadał, że niektórzy adwokaci mają ciężko, bo muszą kręcić. Ja to samo mówiłam o politykach. Złośliwie, ale z miłością – wspomina. – Ojciec nie umiał odpoczywać, ciągle był aktywny. Czy panie wiedzą, że na kilka dni przed wypadkiem wyciskał na sztandze 120 kilogramów?

Rok po tragedii rodzina posła stara się żyć normalnie: praca, szkoła, codzienne zajęcia i obowiązki. Ale gdy przychodzi weekend, nie wiedzą, co ze sobą zrobić. – Siedzimy i czujemy pustkę. Rozmawiamy o nim, ale ostrożnie, jakby każdy się bał, że zasmuci pozostałych. Mama powiedziała kiedyś, że zginęła razem z ojcem. Patrzę na nią i serce mi pęka.

Małgorzata Wassermann na sprawę odszkodowań patrzy także od drugiej strony – jak adwokat, który nieraz walczył w sądzie o pieniądze dla innych. – Najwyższa kwota, jaką wygrałam dla klientki, to 750 tysięcy złotych. Wiem, że różnie z tym bywa. Rozumiem roz-

goryczenie innych, sama jako prawnik dziwiłam się, że MON tak szybko wziął winę na siebie i od razu zgodził się wypłacić takie kwoty, zanim jeszcze się wyjaśniło, kto zawinił i kto w ogóle powinien płacić – dodaje córka zmarłego posła.

Równi i równiejsi

Państwo poczuwa się do winy, bo samolot, który rozbił się pod Smoleńskiem, był maszyną rządową. MON upoważnił więc Prokuratorię Generalną do zawarcia ugód z rodzinami ofiar tego wypadku. – Pod koniec marca osiem z nich już było zawartych – mówi Krzysztof Jastrzębski, dyrektor biura preesa prokuratury. – Terminy wypłat ustalane są indywidualnie i zawarte w ugodach – dodaje i podkreśla, że porozumienie, które rodziny podpisują ze Skarbem Państwa (przypomnijmy: po 250 tysięcy złotych na członka rodziny), nie wyklucza dochodzenia przed sądem innych roszczeń. – Rodziny mogą się starać o przyznanie renty czy odszkodowania za znaczne pogorszenie sytuacji życiowej lub żądać przyznania odszkodowania wyższego niż kwota zaproponowana przez MON.

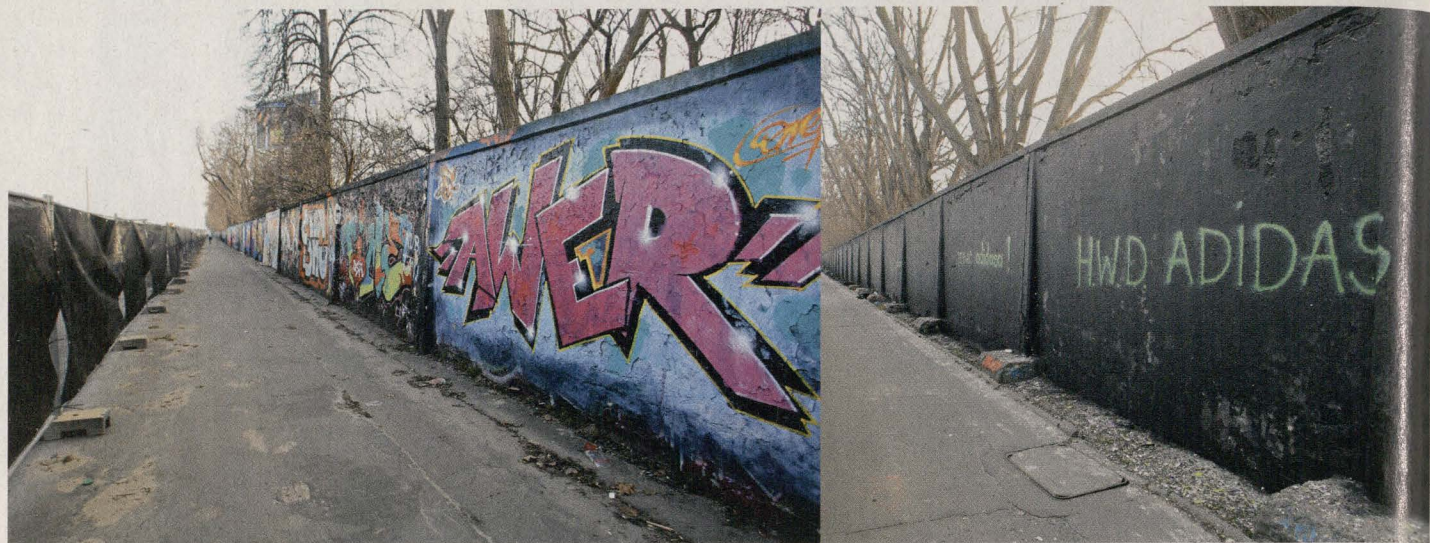
Czy w sytuacji, w której inni nie dostają nie albo latami procesują się o wypłatę odszkodowań, jest to sprawiedliwe? Jastrzębski nie chce tego komentować. Odpowiada na to Tadeusz Zawora, ten, który stracił syna. – Podobno wszyscy są równi wobec prawa.

WSPÓŁPRACA KRZYSZTOF WÓJCIK



KRAKOWSKI
KREDENS
TRADYCJA GALICYJSKA





Zamalowanie galerii sztuki ulicznej wiele osób odebrało jako **zamach na wolność artystyczną**. Stąd tak gwałtowne protesty

Adidas pod murem

Za słynnym murem przy torze wyścigów konnych na warszawskim Służewcu, zniszczonym w ramach „hołdu dla graffiti” przez firmę Adidas, murem stanęli nie tylko miłośnicy sztuki ulicznej. Społeczny lincz na koncernie to dowód, że Polacy nie zgadzają się, by korporacje wchodziły im na głowę. I w ich przestrzeń

ANNA SZULC

Przed sklepem sportowym w Galerii Krakowskiej 13-letni Jaś Wilkański w krótkich, żołnierskich słowach wyjaśnił mamie, nauczycielce biologii, dlaczego nie będzie już nosił adidasów.

„Obciach na maksa” – rzucił chłopiec głosem pełnym oburzenia. Co prawda w Warszawie był tylko raz, ze szkolną wycieczką i w jej planach nie przewidziano zwiedzania ponadpółtorakilometrowego muru okalającego tor wyścigów konnych na Służewcu. Mimo to Jaś wiele razy go widział, na przykład w hiphopowych teledyskach. I sporo o nim wie, na przykład że to mekka streetartowców.

„Każdy szanujący się grafficiarz zna to miejsce, trzeba było tam być i namalować choć jedną pracę” – dopowiadają w swoim manifestie twórcy grupy Adisucks, między innymi Łukasz Stasiak, raper i producent muzyczny. Wraz z przyjaciółmi zorganizował protest tuż po tym, jak 25 marca przed murem pojawiły się barierki i szerokie plecy ochroniarzy. A potem prawie jedna trzecia tej najsłynniej-

szej polskiej galerii sztuki ulicznej została zamalowana. Na czarno. Bo firma Adidas, która słynęła z promowania kultury graffiti, postanowiła zamienić mur w wielką reklamę. Miały się na nim pojawić portrety gwiazd ubranych w ciuchy tego znanego koncernu odzieżowego. Ale po oburzeniu, jakie wywołał ten pomysł, raczej się nie pojawiają. Do grupy sprzeciwu Adisucks (co w wolnym tłumaczeniu oznacza: Adidas do d...) na Facebooku w ciągu kilku dni dołączyło prawie 30 tysięcy internautów. Nie tylko z Polski i nie tylko grafficiarzy. Ogłosili wielki bojkot produktów Adidas.

Reklamowe szmaty i zimny Lech

To prawdziwy rekord w kategorii polskich ruchów obywatelskich w sieci. Do tej pory nikomu w naszym kraju nie udało się zgromadzić tylu zwolenników gotowych bronić miejsca uznanego za dobro publiczne. Nie może się z nim równać nawet internetowa akcja przeciwników wyburzenia warszawskiej Rotundy. W ubiegłym roku Bank PKO BP, do któ-

rego należy ten charakterystyczny okrągły budynek, ogłosił, że chciałby na jego miejscu postawić ładniejszą wersję, dodatkowo z salą wystawienniczą i kawiarnią. Na wieść o tym w Internecie zawrzało. Do założonej na Facebooku grupy „Uratujmy Rotundę!” dołączyło ponad 7,5 tysiąca ludzi. Protestujący przypominali, że to jeden z wielu symboli stolicy, który kojarzy się – nie tylko warszawiakom – z wielką tragedią w 1979 roku, kiedy to w wyniku wybuchu gazu w tym budynku zginęło 49 osób. Z takimi argumentami władze banku nie ośmieliły się polemizować. Akcja burzenia Rotundy została odwołana.

Jednak nie każdy społeczny protest w obronie ważnych miejsc kończy się sukcesem. Fiaszkem okazała się na przykład akcja „Bojkotujmy firmy z reklamowych szmat”. Zorganizowali ją przeciwnicy zasłaniania fasad stołecznych budynków wielkimi billboardami, którzy również na Facebooku utworzyli grupę i ogłosili, że nie będą kupować produktów firm reklamujących się w ten sposób. Zgrom-

dzili tylko nieco ponad 500 osób. Bunt szybko się wypalił, a billboardy jak wisiały, tak wiszą.

Niepowodzeniem zakończyła się także akcja przeciwników baneru reklamującego „zimnego Lecha”, którą Kampania Piwowarska, producent piwa, powiesiła nieopodal Wawelu. Reklama zawisała przed katastrofą smoleńską, a powiązanie jej z pogrzebem Marii i Lecha Kaczyńskich na Wawelu było zbiegiem okoliczności. W skandal zamienił ją europoseł Marek Migalski, który zwrócił uwagę na fatalne skojarzenie marki piwa z imieniem tragicznie zmarłego prezydenta. Polityk domagał się usunięcia reklamy, w sieci pojawiła się grupa kilkuset internautów, którzy ogłosili bojkot piwa. Jednak ten obywatelski sprzeciw przyniósł odwrotny skutek. Jak grzyby po deszczu zaczęły bowiem powstawać internetowe grupy pod hasłami „Nie ma to jak zimny Lech” albo „Uwielbiam pieczoną kaczkę i zimnego Lecha”. Efekt? Nieznaczny. Temat co prawda podchwyciły media, ale kłótnie na temat spornej reklamy nie wyszły poza internetowe fora. Piwo Lech – przynajmniej według zapewnień producenta – na popularności nie straciło.

Specjaliści od trików

Tymczasem przez akcję Adisucks oberwało się nawet sekretarzowi stanu w Kancelarii Prezydenta. Sławomir Nowak udzielił radiowego wywiadu w czerwonej bluzie Adidas, po czym doczekał się w sieci imponującej kolekcji niewybrednych komentarzy. „Minister sprzedał się dresom”, „Dres Nowak – to brzmi dumnie!”, „Prezydent mało płaci? Trzeba dorobić w Adidasie?” – to tylko próbki opinii zamieszczonych w portalach.

Co wywołuje taką wściekłość internautów?

– Zniszczony został nie tylko osprayedany mur, ale także symbol artystycznej wolności – uważa Wojciech Wiśniewski, architekt i artysta streetartowy z grupy Taki Myk, warszawiak. – Poza tym Adidas naruszył sacrum – dodaje Maciej Żakowski, socjolog związany ze Szkołą Wyższą Psychologii Społecznej. Dla grafficiarzy bowiem jest to miejsce święte, nazywane wspomnieniami i emocjami.

– Mur na wyścigach jest ważną częścią tożsamości Warszawy – zapewnia Maciej Żakowski. – Jest prawdziwą publiczną przestrzenią, miejscem należącym do wszystkich.

Podobnego zdania jest Marcin Rutkiewicz, założyciel Fundacji Sztuki Zewnętrznej i stowarzyszenia MojeMiastoAwNim, które od lat stara się powstrzymać wielkie koncerty przed przejmowaniem przestrzeni publicznej. Domaga się między innymi ustawy, która regulowałaby zasady umieszczania reklam ze-

wewnętrznych. Bo jak przyznaje, na razie walka z firmami outdoorowymi przypomina starcie Don Kichota z wiatrakami.

– Wielkie firmy są specjalistami od trików, dzięki którym mogą omijać przepisy. Billboard na kółkach zamieniają w pojazd, tablicę reklamową w kwietnik, a megareklamę na wieżowcu... w małą architekturę. A jeśli dostaną karę za swoje bezprawie, bez mrugnięcia okiem wliczają ją w koszty – wylicza Rutkiewicz.

Zbytki na zabytku

Na dowód ich beczelności podaje przykład warszawskiego wieżowca, którego mieszkańcy obudzili się pewnego dnia z oknami przysłoniętymi wielką reklamową płachtą. Co więcej, okazało się, że powieszono ją tam zgodnie z prawem. Spółka rozwieszająca billboardy podpisała bowiem umowę ze wspólnotą mieszkaniową – bez wiedzy większości lokatorów. Miejscowi urzędnicy powołali wówczas... sztab kryzysowy, by rozwiązać ten problem i pomóc oburzonym mieszkańcom budynku. Po dwóch miesiącach debaty stwierdzili, że są bezradni. Kwestię rozwiązała ostatecznie firma, która promowała się na wieżowcu. Sama wycofała się z przedsięwzięcia.

O tym, że samorządy są bezradne i nie potrafią skutecznie bronić przestrzeni uznanej za dobro wspólne, świadczy również to, że Adidasowi udało się zniszczyć galerię polskich grafficiarzy bez pytania o zgodę konserwatora zabytków. A mur jest zabytkiem i podlega ochronie. Tymczasem stołeczna konserwator Ewa Nekanda-Trepka po akcji Adidasu oświadczyła, że nie pozwoliłaby na zniszczenie graffiti. Zapewniła przy tym, że wyłącznie uliczni artyści mają jej zgodę na zamalowywanie muru. Również bez zgody Zarządu Dróg Miejskich Adidas zastawił barierkami drogę dla pieszych przy wyścigach. O zamiarach firmy nie wiedział nawet Totalizator Sportowy, do którego należy służewiecki mur, ani urzędnicy Wydziału Estetyki Przestrzeni Publicznej Urzędu Stołecznego Miasta Warszawy. Zresztą nawet gdyby wiedzieli, nie mogliby z tą wiedzą wiele zrobić.

– Nie mamy wystarczających narzędzi prawnych, by sprawować kontrolę nad przestrzenią publiczną – przyznaje Tomasz Gamdzik, naczelnik wydziału.

Strzał w stopę

Tymczasem po raz pierwszy w historii buntu obywatelskiego w Polsce obywatele sami na taką skalę nakładają surowe kary na koncern, który nie uszanował ich prawa do wolnej twórczej przestrzeni.

– Na bojkot Adidas sobie zasłużył – uważa Sebastian Łuczak, specjalista od public relations i rozwiązywania sytuacji kryzysowych w firmach. – Nie dość, że próbował wykorzystać tych, na których teoretycznie mu zależało, i nie skonsultował akcji na Służewcu z ludźmi, dla których mur był tak ważny, to jeszcze nie potrafił ich za to szczerze przeprosić – wylicza.

Faktem jest, że koncern dopiero po kilku dniach od zamalowania muru wydał suche i nieco mętne oświadczenie, w którym zapewniał, że swój projekt traktował „jako szansę dla uczczenia sztuki ulicy w formie graffiti i street art”. Oraz że miał czyste intencje.

Próbowaliśmy dowiedzieć się, ile w tym prawdy. Jednak Adidas nie odpowiada nie tylko na zarzuty grafficiarzy. Na pytania dziennikarzy też.

– Nie znam motywów Adidasu, ale z marketingowego punktu widzenia to, co się stało, uważam za strzał w stopę. Zwłaszcza że akcja uderzyła w młode, oparte na silnych wartościach oraz bardzo wyczulone na wszelkie przejawy fałszu i cynizmu środowisko – uważa socjolog Maciej Żakowski.

Bojkot bez znaczenia?

Marcin Rutkiewicz ze stowarzyszenia MojeMiastoAwNim dopowiada, że siła rażenia buntu, którego przejawem jest prężna grupa Adisucks, bierze się także stąd, że koncern naraził się ludziom, którzy doskonale komunikują się w sieci i potrafią się w niej świetnie organizować. Akcja ma też swoich liderów, popierają ją autorytety kultury streetartowej i hiphopowej, w tym DJ 600V, czyli Sebastian Imbierowicz, i Igor „Ash” Dzierżanowski.

– Być może gdyby Adidas uderzył w emerytowanych producentów półtuszu wieprzowych, nikt o ich proteście nawet by nie usłyszał – śmieje się Rutkiewicz. Jego zdaniem może jednak okazać się i tak, że w skali globalnej nasz polski bojkot nie będzie miał dla wielkiej i bogatej firmy wielkiego znaczenia. Maciej Żakowski zwraca przy tym uwagę na inną rzecz. Niewykluczone, że dzięki tej akcji sprzeciwu młodzi ludzie zaczną częściej organizować się w obronie wspólnego dobra. Choćby był nim jedynie kawałek muru. Muru, w imię którego tysiące osób, nie tylko warszawiaków i grafficiarzy, postanowiło omijać sklepy marki przecież przez nich cenionej. Bo nie tylko 13-letni Jaś Wilkański z Krakowa uważa, że to, co zrobił Adidas ze służewieckim murem, to obciach na maksa.



Jak wyglądał mur na Służewcu po „akcji” Adidasu? – zobacz wideo na www.przekroj.pl oraz w „Przekroju” na iPadzie

Mao pokazuje zęby

Seks, narkotyki i czerwona książeczka – tyle dziś pozostało ze spiżowego pomnika Mao Tse-tunga. Mimo to chińscy komuniści będą go bronić do końca. Bo to będzie też ich koniec

ŁUKASZ WÓJCIK

Dźwig miał tylko nieco przestawić wodza rewolucji. Jednak wielki 10-metrowy pomnik z marmuru wymknął się żelaznym pazurom i uderzył o asfalt. Mao został zdekapitowany, stracił też ręce i nogi. A obserwujący to wpadli w panikę.

Od połowy marca, kiedy to na chińskiej wyspie Hajnan nieuważny dźwigowy roztrzaskał przewodniczącego Mao, przez kraj przetoczyła się fala oburzenia. Jeden z reżimowych poetów napisał, że „tak oto kapitalizm [prywatna firma budowlana – przyp. red.] niszczy naszego ojca”. A władze chcą wytoczyć nieszczyśnej firmie proces o „atak na fundamenty ustroju”.

Na Zachodzie demontaż posągowego mitu przywódcy chińskiej rewolucji trwa od lat 90. Jednak od 2008 roku pomnik Mao coraz szybciej zbliża się do asfaltu. Trzy lata temu Pekin dopuścił zachodnich historyków do archiwów. Frank Dikötter, sinolog z Uniwersytetu Harvarda, wkrótce wyda miażdżącą dla Mao książkę, owoc przekopywania się przez te archiwa. Jednocześnie duży singapurski producent filmowy zapowiedział ekranizację obrazoburczej powieści Anchee Min „Becoming Madame Mao”, w której autorka opisuje ekscesy seksualne ojca chińskiej rewolucji.

Dla chińskich komunistów obrona pomnika Mao jest sprawą „być albo nie być”, bo obwoływanie się jego następcami uzasadnia ich władzę. Bez niego są zwykłymi uzurpatorami. W Chinach Mao wciąż trzyma się jednak mocno. Pytanie: jak długo?

Polowanie na dziewice

Mao miał agentów alfonsów. Jeździli po prowincjach, wyprzedzając o kilka dni objeżdżającego kraj wodza, i wyszukiwali dla niego młode dziewczyny. Później była rozmowa z rodzicami, którym nie pozostawiano żadnego wyboru, ale jednocześnie pocieszano ich, że córki czeka wielki zaszczyt.

Tak zaczyna się scenariusz wspomnianego filmu o Mao, a zaszczyt nazywa się rześistko-



Mao z obrazu wiszącego na placu Tienanmen to **najbardziej rozpoznawalna chińska marka** na świecie

wica. Przenoszona drogą płciową choroba, którą rozsiewał przewodniczący, w latach 60. była w praktyce nieuleczalna. Wódz się tym nie przejmował. Mówił ponoć, że ponieważ nie zagraża ona jego zdrowiu, to cudzym się nie przejmuję (choroba atakuje głównie kobiety). Jak pisze Anchee Min, wiele kobiet było zachwyconych takim „podarunkiem” – nosiły w sobie dowód obcowania z wodzem. Niektóre narzekały na zapach. Mao miał problemy z zębami. Według jego lekarza, doktora Li, z działań wpływała mu zielona ropa. Mao jeszcze z domu wyniósł zasadę, że zębów się nie myje. Wystarczy przepłukać je rano herbatą. Bo jak trafnie zauważył w rozmowie z doktorem Li: „Tygrysy przecież zębów nie myją”.

Do zbawiennej mocy seksu z kobietami, a zwłaszcza z dziewczynami, Mao przekonał się w latach 60. W taoizmie, którego był wyznawcą, uważa się, że seks z wieloma kobietami (lub mężczyznami) przedłuża życie. Gdy umierał w 1976 roku, miał 82 lata – wiek nieosiągalny wówczas dla przeciętnego Chińczyka.

Jednak seks miał dla Mao też inne znaczenie. Otóż przywódca lubował się w zdobywaniu żon i córek partyjnych dygnitarzy. Zdaniem Jonathana Fenby'ego, brytyjskiego dziennikarza i wieloletniego korespondenta w Chinach, nie wybierał ich jedynie po to, by w łóżku dowiedzieć się czegoś o ich mężach lub ojcach. On po prostu czerpał przyjemność z upokarzania ludzi. Kiedy w 1967 roku jeden z szan-

ghajskich sekretarzy próbował dociec, co się stało z jego aresztowaną kilka dni wcześniej żoną, został pouczony włożonymi do odbytu rozżarzonymi prętami, że to nie jego sprawa.

Rewolucyjna rozpusta

Brytyjski historyk Eric Hobsbawm w książce „Revolutionaries” przekonywał, że następstwem rewolucji wcale nie jest rozluźnienie seksualnych obyczajów, wręcz przeciwnie. Tak jak w Chinach – ponieważ partia komunistyczna miała zastąpić rodzinę, nie mogła ot tak zerwać z pruderią prowincji, bo zostałyby przez ludzi odrzucona. Dlatego młodzi ludzie, których odebrano rodzicom i wcielono do komunistycznej młodzieżówki, mieli zakaz utrzymywania relacji seksualnych. Cudzołóstwo było surowo karane, a na małżeństwo zgodę musiała wyrazić partia. – To typowa dla Mao hipokryzja – mówi nam profesor Lee Cher Leng, sinolog z Singapurskiego Uniwersytetu Narodowego. – W tym samym czasie bowiem przewodniczący zabawiał się z uprowadzonymi od rodziców nastolatkami.

Dziesiątki podobnych historii wychodzą na światło dzienne, od kiedy chińscy komuniści pozwalają zachodnim historykom na przeglądanie archiwów. Wspomniany już Frank Dikötter ujawnił nie tylko ekscesy seksualne wodza. Pokazał też jego narkomanię.

Dzięki opium Mao w latach 40. finansował swoją Czerwoną Armie. Na sprzedaży tego narkotyku przyszedł wódz zarabiał około 60 milionów dolarów rocznie. Gdy w 1949 roku przejął władzę, ograniczył produkcję opium tylko do celów prywatnych. Jak twierdzi Dikötter, niejednokrotnie decyzje wagi państwowej podejmował „w stanie uniesienia”. Również Henry Kissinger, były amerykański sekretarz stanu, wspominał, że kiedy w 1971 roku przybył do Pekinu, Mao powitał go wyjątkowo rozbawiony i zaoferował mu kobiety. Dokładnie 10 milionów kobiet. Przewodniczący tłumaczył Amerykaninowi, że Chiny to biedny kraj, ale kobiet ma aż nadto.

Jesz tyle, ile pracujesz

Żarty Mao na temat kobiet były zdecydowanie nie na miejscu. Jak obliczyło małżeństwo historyków Jung Chang i Jon Halliday, autorzy głośnej książki „Mao: The Unknown Story”, tylko w latach 1958–1961, gdy w Państwie Środka panował wielki głód, zginęło 30 milionów Chinek. Reżim stosował sprawdzoną nazistowską zasadę – jesz tyle, ile pracujesz. Jego pierwszymi ofiarami padały więc kobiety i dzieci. Ale makabra tamtego okresu dopiero teraz wychodzi na jaw.



To Mao jako pierwszy w 1949 roku przyznał Chinkom pełnię praw politycznych. Ale wszystkie ich prawa kończyły się na progu jego sypialni

W 1958 roku na rozkaz Mao Chińczycy rozpoczęli „wielki skok naprzód”. Ta narzucona z góry rewolucja przemysłowa miała zapewnić Chinom miejsce wśród rozwiniętych krajów świata. Państwo skolektywizowało rolnictwo i nakazało chłopom budować minihuty przy swoich domostwach, aby w ten sposób podnieść krajową produkcję stali. W rezultacie w ciągu kilku lat załamała się produkcja rolnicza. Mimo to Mao nakazał bezwzględne kontynuowanie jedynie słusznego kierunku.

Dikötter w jednym z archiwów w Syczuanie natrafił na historię chłopca, który w 1960 roku ukradł ziemniaka. Władze schwytały jego ojca i kazały mu zakopać chłopca żywcem. Ojciec popełnił samobójstwo kilka tygodni później.

Na wyraźne polecenie Mao nawet drobnych złodziejasków traktowano jak kryminalistów. W prowincji Henan obowiązywała zasada pozostawiania ciał zabitych przestępców w miejscu egzekucji. Jeden z lokalnych dygnitarzy wpadł na pomysł, aby wrzucać je wprost do kompostu. Zdarzało się również, że zwłoki ofiar reżimu mielono z psim mięsem i sprzedawano w celach spożywczych.

Jednocześnie, jak pisze inny sinolog Jasper Becker, Mao – w zależności od regionu – nakazał konfiskatę nawet połowy zbiorów i liczby zwierząt hodowlanych. Niemal wszystko szło na eksport do Związku Radzieckiego. Jak miał przyznać Mao jednemu ze swoich generałów, to był „doskonały układ – my im wysyłamy ryż i cebulę, a oni nam technologię nuklearną”.

Oficjalny obraz wodza

Mao nigdy nie został rozliczony za swoje czyny. Nawet symbolicznie. – Informacje o jego zbrodniach coraz częściej docierają do przeciętnych Chińczyków – mówi profesor Lee. – Ale nawet gdyby zniesiono cenzurę, chińscy komuniści nie podniosą przecież ręki na swojego ojca. Ojca w niemal dosłownym sensie, bo bez niego by nie przetrwali.

Mimo że Pekin już w latach 80. sprzenie-
wierzył się jego ideałom, porzucając w gospodarce komunizm na rzecz kapitalizmu, Mao wciąż jest niezastąpiony. Fenby pisze o „rynkowym leninizmie” w Chinach. To wolność gospodarcza, ale pod dyktando autorytarnej władzy. Źródła tej władzy leżą w micie założycielskim Chińskiej Republiki Ludowej – w wojnie z obcą okupacją, zwycięskiej wojnie domowej i w końcu w zjednoczeniu państwa. Mao jest najważniejszym elementem tego mitu, a obecnie rządzący zajmują niepodważalną pozycję, bo mienia się jego spadkobiercami.

„Gdyby dziś komuniści usunęli Mao z piedestału, pod nogami zostałyby im czarna dziura – pisze Fenby. – Gdy Chruszczow w 1956 roku potępił Stalina, radzieccy komuniści mieli jeszcze Lenina, na którego mogli się powołać. Pozbywając się Mao, chińscy komuniści pozbawiliby się jedyne uzasadnienie swojej władzy. Dla Chin ludowych Mao jest tym, czym Romulus i Remus dla Rzymu”.

Dlatego żadne kolejno ujawniane zbrodnie nie zachwieją jego mitem. Bo nie o tego Mao chodzi. Zachodni historycy opisują tego żywego, takiego, jakim był naprawdę. A chińscy komuniści stworzyli propagandową kukłę, której wizerunek, formalnie zaakceptowany przez władze, uwieczniony został na obrazie wiszącym dziś nad Bramą Niebiańskiego Spokoju na pekińskim placu Tienanmen.

Powieszono go tam zaraz po tym, gdy komuniści w 1949 roku zajęli miasto. Początkowo Mao na obrazie był w czapce, z nieco przekrzywioną głową, uśmiechał się. Gdy umarł w 1976 roku, na krótko wymieniono obraz na czarno-biały. Rok później zebrała się specjalna komisja partyjna, która miała ustalić, jak będzie wyglądał oficjalny wizerunek przewodniczącego. Na kolejnym portrecie Mao odwrócił się twarzą do ludzi. W latach 80. patrzył już na nich obojętnie i nadstawił dwoje uszu – żeby dobrze wsłuchać się w głos ludu. W 1989 roku podczas masowych demonstracji studenckich na placu Tienanmen jeden ze studentów trafił go puszką czerwonej farby, która jak krew milionów zamordowanych Chińczyków rozlała mu się po policzkach. Plamę natychmiast usunięto, bez zdejmowania obrazu z miejsca. Na tym samym płótnie jest już co najmniej sześć warstw farby. Chińczycy nigdy nie zdejmują go z murów Zakazanego Miasta. Bo co by sobie wszyscy pomysleli? Bez Mao nie ma przecież Chińskiej Republiki Ludowej.



Seks miał dać Mao wieczną młodość? Zobacz wideo na www.przekroj.pl oraz w „Przekroju” na iPadzie



Impreza z Tuskiem

Nie boi się PiS i dlatego krytykuje PO. Twierdzi, że najlepszym sojusznikiem Tuska jest Jarosław Kaczyński i to on robi premierowi najlepszą kampanię.
MARCIN MELLER tłumaczy Robertowi Mazurkowi, po co mu była afera z buntem przeciw PO

Andrzej Wyrobiec już dzwonił z gratulacjami?

– Kto?

Sekretarz generalny PO i prawdopodobny szef waszej kampanii.

– (*śmiech*) Jeszcze nie dzwonił. Ponoć pewien ważny platformers śmiał się, że skończę na listach PO.

A skończysz?

– Nie wybieram się.

Skądinąd propozycja całkiem zrozumiała, zważywszy na to, jak wiele dla Platformy robicie...

– A jednocześnie Joanna Kluzik-Rostkowska zaproponowała mi śniadanie, a Zbigniew Girzyński mówił, że chciałby, by tacy ludzie jak ja głosowali na PiS, więc mi się to tak ekumenicznie rozłożyło.

Zdaniem blogerów to była ewidentna ustawka.

– Zdaniem blogerów Elvis żyje.

Jest więcej poszlak wskazujących na to, że to była ustawka, niż na żywotność Presleya.

– Jakich poszlak?

Gdy w PO pada hasło „odwojowania inteligencji i celebrytów”, to zaprzyjaźniona telewizja podaje rękę. To nazywam ustawką.

– Nikogo nie przekonam, ale ja wiem, że wszystko zaczęło się od kolacji u znajomych, na której spotkałem Donalda Tuska. Prawił mi jakieś złośliwości, ale rzuciłem hasło, że można by porozmawiać publicznie. On to podjął. Myślałem, że to tylko kurtuazja, ale kiedy szefostwo TVN24 wystąpiło z zaproszeniem do premiera, to tydzień przed programem zadzwonił do mnie Paweł Graś, mówiąc, że Tusk przyjdzie.

Graś ci to załatwił?

– Nie, ale słyszałem plotki, że Ostachowicz był przeciwnikiem tego pomysłu, a spodobał się on właśnie Grasiowi.

Nie mylił się. Byliście dla premiera wyjątkowo łagodni.

– Na pewno ty, Igor Janke czy Piotr Zaremba przycisnęlibyście go bardziej i chciałbym zobaczyć go w ogniu killerów z „Rzeczpospolitej”, ale nie przesadzajmy. Na pewno Tuskowi jest milej, gdy udziela wywiadu „Polityce” niż nam.

Ale to Jacek Żakowski zjechał was za łagodność wobec premiera!

– To on wzywał: „Odwalcie się od Tuska!”. Być bardziej dociekliwym wobec Tuska niż Żakowski to nie jest żadna sztuka, ale może nie traci czasu na Żakowskiego.

W jednym jednak miał rację: podczas debaty widać było, że jesteście nieprzygotowani, a premier wrzuca ci, co chce.

– Nie sądzę. Alternatywa była taka, że co drugą wypowiedź premiera musiałbym przerywać i kontrować. Bawilibyśmy się w ping-ponga, ale nic by z tego nie wynikało.

Mogłeś chociaż sprostować fakty. Kiedy Tusk mówił, że jego poprzednicy ustawiali radary, a on woli budować drogi, to trzeba było napomknąć, że postawił tych radarów więcej niż Kaczyński.

– Ale od tego właśnie zacząłem pytanie! To ja wywołałem temat radarów i powiedziałem mu, że postawił ich więcej niż Kaczyński.

A w odpowiedzi Tusk mówił, co chciał, wy zaś milczeliście...

– Czasem kontrowałem, ale czego oczekiwałeś? Gdybym bez przerwy interweniował, to nie byłoby rozmowy, lecz chaos i pyskówka.

A tak mieliśmy monolog Tuska i was w roli dekoracji – tak komentowali spotkanie nawet sprzyjający Tuskowi dziennikarze: Piasecki, Machał...

– Proszę bardzo, każdy z nich może z premierem rozmawiać i niech robi to po swojemu, ja nie komentuję czyjegoś sposobu prowadzenia wywiadów. Ale pamiętaj jeszcze o formule programu. Miałem trzech innych gości, a widzowie nie byli zainteresowani tylko popisami Meller, ale także tym, co mówi i o co pytają Hołdys, Lipiński czy Kukiz.

Niestety o nic ciekawego.

– Być może, ale ten program pobił rekordy oglądalności właśnie dlatego, że byli w nim również artyści, a rozmowa wyglądała tak, jak wyglądała. Dlatego czasem musiałem ugryźć się w język, choć miałem ochotę polemizować z premierem. Ale pocieszę cię: ludzie nie są idiotami i widzieli, jak Tusk ściemnia, trochę kręci. Widzieli, jak zapytany o bilingi opowiada o podsłuchach, a pytany o depenalizację marihuany mówił o jej legalizacji i tak dalej.

W rezultacie Tusk wyszedł z tego zwycięsko.

– Był dobry. Ludzie sami wyrabiają sobie zdanie. Również pozytywne dla Tuska. Dobrze oddaje to wpis na Facebooku, gdzie ktoś napisał: „Wszyscy politycy kłamią, ale Tusk kłamie najładniej, dlatego na niego zagłosuję”. Rozumiem, że według ciebie to dowód na moją porażkę dziennikarską?

Nie. Rolą dziennikarza nie jest perswadowanie wyborcom, na kogo mają głosować – to zadanie propagandzistów. Miałeś wykazać nieścisłości premiera, a nie namawiać ludzi, by na niego nie głosowali.

– I tak bym nie przekonał mówiących o ustawce. Czego oni oczekiwali? Że po wpisie na Facebooku zaczną chodzić po mieście i krzyczeć: „Nienawidzę Platformy!”, „Śmierć Tuscowi!”?

Może oczekiwali minimum trwałości w uczuciach?

– Toteż ja nie zmieniam niczego z tego, co napisałem.

Wpisem na Facebooku dałeś sygnał do buntu przeciw PO. Już można...

– Co znaczy „już można”?

Na przykład już można krytykować PO, bo już nie boimy się PiS.

– To rzeczywiście był powód, dla którego ten wpis stał się głośny. Nie moje argumenty o tym, że Drzewiecki, że PKP, że Wałbrzych, ale właśnie to, że napisałem: „Nie straszcie mnie już PiS-em”.

Dlaczego?

– Bo Platforma uważała i wciąż uważa, że nie ma tak naganego zachowania, które nie uszłoby im na sucho ze względu na strach przed PiS. Oni przyznają się do błędu, a na koniec powiedzą: no dobra, jesteście, jacy jesteście, ale zatykać nochale i do urn, bo wróci Kaczyński.

To prawda, że nikt nie broni tych nieistniejących autostrad, mostów przez Wisłę i postępu technologicznego za rządu Tuska. Pytanie brzmi: czy ludzie im mimo wszystko wybaczą, bo przyjdzie straszny Kaczor?

– Kiedy po moim wpisie rozmawiałem ze znajomymi, najczęstszą reakcją były słowa: „Stary, zgadzam się z tobą prawie we wszystkim, ale czy ciebie kompletnie popierdoliło? Chcesz powrotu Kaczyńskiego?” To zamyka dyskusję. W ten sposób powtarzają główne przesłanie PO: głosujcie na nas, bo przyjdzie Kaczor.



Marcin Meller

42 lata, dziennikarz, absolwent Wydziału Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego. Od 2003 roku redaktor naczelny polskiej edycji „Playboya”. W latach 2005–2008 wraz z Kingą Rusin był prezydentem porannego

pasma „Dzień dobry TVN”. Prowadzi program kulturalny „Drugie śniadanie mistrzów” w TVN24. Syn ministra spraw zagranicznych Stefana Meller, ma bliźniacze rodzeństwo – Katarzynę i Andrzeja.

I to zadziała?

– Nie wiem, ale przed nami rocznica Smoleńska, potem beatyfikacja Jana Pawła II, więc PiS będzie miał wiele szans, by ludzi do siebie zniechęcić. A największym sojusznikiem Tuska i piarowcem, który napędza mu głosy, jest Jarosław Kaczyński.

Zaangażujesz się w ruch antykaczyński?

– Dziś nie ma żadnej konfiguracji politycznej, którą mógłbym popierać. Na wybory pójdę, bo trzeba chodzić, ale oddam głos na mniejsze zło, bo nie mam zamiaru nikomu kibicować.

A jeśli PO poprosi o pomoc?

– Nie sądzę, by chcieli mojej pomocy.

Ale cztery lata temu im pomagaleś?

– O tyle, że brałem udział w akcji „Zmień kraj, idź na wybory”, co de facto było wspieraniem Platformy Obywatelskiej i wziąłem w niej udział w takiej intencji. Ci, którzy publicznie mówili, że to kompletnie apolityczna akcja, po prostu ściemnieli.

Jesteś pierwszym, który mówi to publicznie.

– Przecież to było oczywiste od początku, że trzeba zachęcić młodych, by przyszli głosować, bo młodzi to elektorat Platformy.

Zaczęliśmy debatą i na niej skończyliśmy. Powiedziałeś po niej, że Donald Tusk znów jest sexy.

– Oceniam, że znów tak jest odbierany przez część wyborców. Tusk znów zyskał powab, bo ludzie zobaczyli w nim polityka, jakiego chcieli zobaczyć. Być może bez ekscytacji, ale z uznaniem, że facet po czterech latach rządów jeszcze daje radę. A wydaje mi się, że ludzie podczas wyborów w znacznym stopniu głosują na swoje dobre samopoczucie.

Ciebie też przekonał? Bo samopoczucie masz dobre.

– Uchylam się od odpowiedzi, ale powiem tak: w sobotę wieczorem, po debacie, byłem na imprezie z ludźmi rozczerzowanymi PO, robiącymi sobie jaja z Tuska. I w czasie dyskusji ktoś zauważył, że gdyby nagle wszedł Tusk, to mimo wszystko byłby jednym z nas, normalnym facetem, z którym można by siąść przy stole i pogadać, a nie wyobrażam sobie w takiej sytuacji Kaczyńskiego, Pawlaka czy Napieralskiego.

Pawlaka nie znam, ale zapewniam, że z pozostałą dwójką można.

– Napieralski jest taki teflonowy, wygląda jak z fabryki młodych polityków. Kaczyński to zupełne przeciwieństwo. Powiedzieć o nim, że ma osobowość, to mało. On naprawdę ma charyzmę, z tym że ja akurat nie ulegam jego urokowi, a nawet się tej charyzmy obawiam. Co nie znaczy, że nie dałoby się z nim ciekawie porozmawiać. Choć nie jestem pewien, czy na imprezie...

Hm, nie wiem jak teraz, ale dawno temu byłem na kilku imprezach z nim i był dowcipny i wyluzowany.

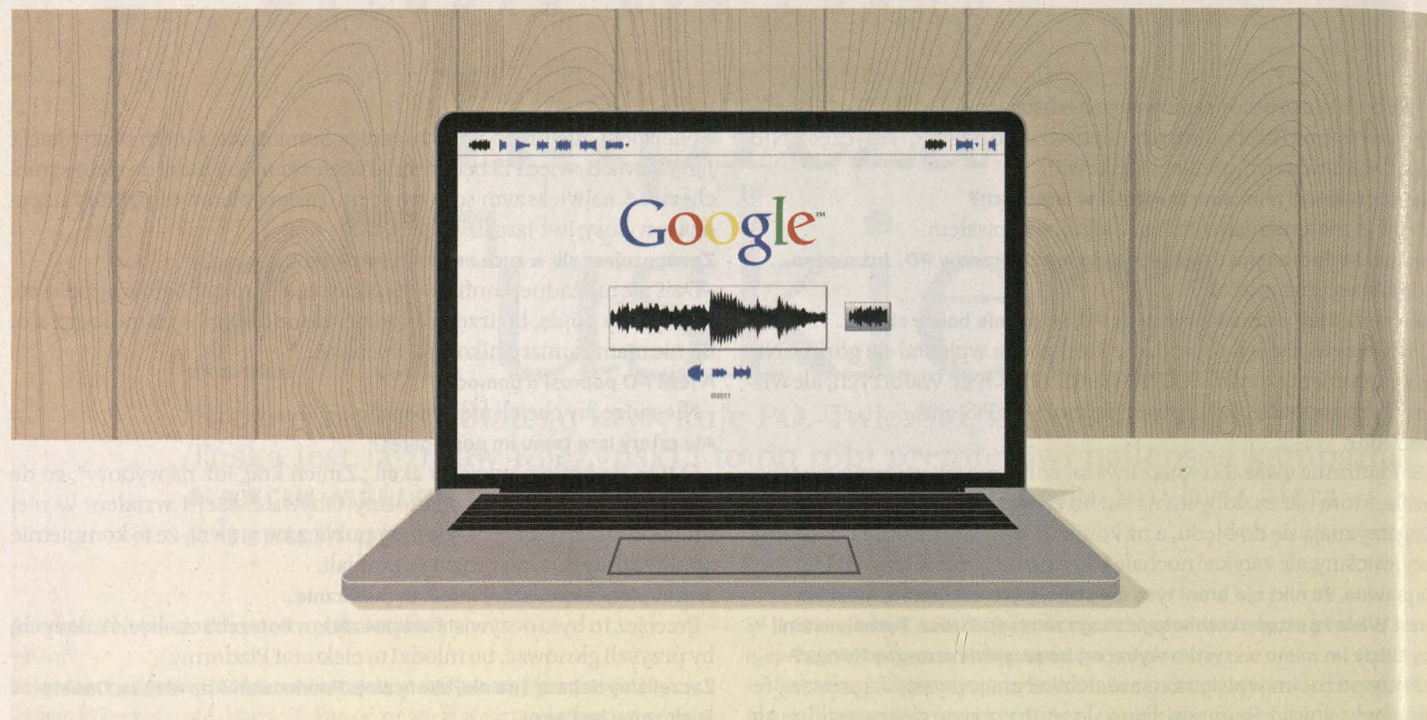
– Chciałbym się wreszcie dowiedzieć, czy te wszystkie opowieści o legendarnym poczuciu humoru i uroku Jarosława Kaczyńskiego są prawdziwe. Jestem w stanie uwierzyć, że on mógłby być fascynującym rozmówcą. Mamy jedno wspólne zainteresowanie – uwielbiam krwiożercze anegdoty o Stalinie, a z tego, co wiem, to jest jego hobby.

Potwierdzam.

– Ostatnio znów przeczytałem książki o Stalinie Simona Sebaga Montefiorego i na pewno mielibyśmy o czym z panem Jarosławem pogadać.

Obawiam się, że na tym rozmowa by się skończyła.

– A myślisz, że fascynacja Josifem Dżugaszwiliem nie wystarczy? A kto wie, jak by się ta rozmowa dalej potoczyła (*śmiech*). ●



Zagadnij maszynę

TEKST PIOTR
STANISŁAWSKI

ILUSTRACJA
ARTUR OLEŚ

Możemy osiągać szczyty kreatywności, wymyślać ekrany dotykowe, dziwne klawiatury i żyroskopowe myszki, a i tak nie ma lepszego sposobu na komunikację niż słowa

Nie przypadkiem w każdym szanującym się filmie science fiction, w każdej porządnej książce cyberpunkowej bohater rzuca niebale jakieś polecenie, co najwyżej poprzedzając je słowem „komputer”. „Komputer, jak daleko znajdujemy się od Ganimedesa?”. I już po chwili spokojny głos podaje żądane informacje. Swobodna rozmowa z maszyną to cel

sam w sobie, a jednocześnie wielki krok na drodze do spełnienia marzeń o sztucznej inteligencji. A rzeczywistość? Jak zwykle – skrzeczy, zamiast mówić. Do niedawna nawet najlepsze systemy komunikacji głosowej radziły sobie z komórką żałośnie źle. Chcesz zadzwonić do Adama Walczaka, a dumny telefon usłownie wykręca numer Andrzeja Korczaka. Dziękuję.

To się jednak zmienia, odkąd do takich systemów przyłożył swoją wielką sieciową łapę Google. Od zeszłego roku w telefonach komórkowych z systemem Android, a od niedawna też w iPhone'ach, działa kilka programów, które pokazały, że można się dogadać z tego typu aparaturą. To zasługa między innymi dwóch inżynierów: Petera Norviga – człowieka, który pomógł Google nauczyć się myśleć – i Mike'a Cohena, który dał Google uszy i głos. Z obydwoma mieliśmy okazję porozmawiać właściwie twarzą w twarz, bo podczas wideokonferencji z Kalifornią.

Efekty ich pracy robią wrażenie – w telefonach wyposażonych w Androida 2.2 działa system Voice Actions, który naprawdę zdaje się rozumieć, co do niego mówimy. Wystarczy powiedzieć (na razie po angielsku): „Wyślij wiadomość do Adama Walczaka: Przepraszam, spóźnię się 15 minut”, a telefon elegancko przygotowuje i wyśle SMS. Nie dość, że otrzyma go faktycznie Walczak, a nie Korczak, to w dodatku treść będzie zgodna z tym, co powiedzieliśmy. Powiedzieliśmy, a nie moźolnie, słowo po słowie, dyktowaliśmy.

Jak to działa? Peter Norvig: „Kluczową sprawą jest tu przekazanie najtrudniejszej części procesu, a więc samego rozpoznawania mowy, maszynom znacznie potężniejszym niż nasz telefon. Już w momencie, gdy dyktujemy tekst, rozpoczyna się wysyłanie danych do jednego z naszych centrów obliczeniowych. Nie czekamy, aż skończysz mówić, od razu zaczynamy analizować tekst. Gdy tylko zostanie rozpoznany, natychmiast odsyłamy go do telefonu. Choć brzmi to skomplikowanie, to proszę mi wierzyć – całość zajmuje nie więcej niż dwie-trzy sekundy”.

Idź i mów

Poza samym Voice Actions w komórkach (tym razem również

w iPhone'ach, a do tego po polsku!) działa jeszcze głosowy interfejs do wyszukiwarki Google. Jego przydatność trudno przecenić – każdy wie, jak trudno jest iść ulicą i jednocześnie wstukać tekst na dotykowym ekranie. A tu wystarczy nacisnąć jeden przycisk i niedbale rzucić: „Wysokość Pałacu Kultury”. Naprawdę mijają trzy sekundy i dostajemy stronę z wyszukanimi przez Google wynikami. Najlepszym dowodem zarówno na skuteczność, jak i na wygodę tego rozwiązania jest fakt, że w zeszłym roku jedna czwarta wszystkich wyszukiwań prowadzonych w Google przez komórki w USA odbywała się właśnie za pomocą głosu. Dziś ten wynik jest zapewne znacznie wyższy.

Mike Cohen, który zanim zaczął pracować dla Google, był jednym z twórców najlepszego komercyjnego systemu rozpoznawania mowy Dragon NaturallySpeaking, dodaje: „Postanowiliśmy ominąć problem, który przez lata powstrzymywał rozwój programów porozumiewających się głosowo z użytkownikiem. Od dawna zastanawiano się, jak skłonić programistów, by wbudowywali w swoje aplikacje funkcje rozpoznawania mowy. Tymczasem w Androidzie twórca programu nie musi robić nic. Więcej – nie musi nawet wiedzieć, że jego program będzie miał coś wspólnego z rozpoznawaniem mowy. Po prostu w momencie, gdy na ekranie wyświetla się klawiatura, obok pojawia się też mały przycisk mikrofonu. Użytkownik sam wybiera, czy chce pisać, czy mówić”.

No właśnie – wybór. Gdy w filmach i książkach pojawia się już rozmowa z maszyną, to pozostaje ona zwykle jedynym sposobem komunikacji. A to przecież nie tak.

Mike Cohen: „Ludzie nie zawsze chcą mówić. Często potrzebują prywatności – w biurze, w miejscu publicznym. Dlatego

tryb głosowy nie zawsze będzie najlepszy. My jednak staramy się, by był dostępny wszędzie i w takiej jakości, by ludzie nie wahali się go używać”.

Belkot w tramwaju

Jakość była przez lata podstawowym problemem – nie zechcesz korzystać z systemu, który myli się częściej niż raz na kilkanaście czy kilkadziesiąt razy. A przed systemem takim jak rozpoznawanie mowy przez Google stoi szczególnie wyzwanie – ludzie będą mu zadawali pytania, jadąc samochodem, idąc po schodach, oglądając telewizję. Będą dyszeć, belkotać, seplenić i na koniec oczekiwać, że otrzymają sensowną odpowiedź. Dlatego prace nad systemem idą dwutorowo. Jeden kierunek to modelowanie statystyczne.

Peter Norvig: „Cała koncepcja rozumienia mowy opiera się na złożonych modelach staty-

stycznych. Musimy stworzyć bazę wszystkich dźwięków, które pojawiają się w danym języku, ich połączeń. Wprowadzamy też ogromny słownik, na przykład angielska baza zawiera ponad milion słów, które dodatkowo mają różne akcenty, intonacje. Po opracowaniu takiej podstawy zaczyna się nauka. Każde zapytanie to nowe doświadczenie – system poznaje nowe sposoby wymowy słów, uczy się, które ich zestawienia pojawiają się częściej, a które rzadziej. Na tej podstawie może potem przewidywać, jakie słowo powinno się pojawić w danym miejscu zdania. Jeśli na przykład użytkownik za szybko zacznie mówić i pierwsze słowo nie zostanie zarejestrowane, często jesteśmy w stanie odtworzyć je właśnie na podstawie statystycznej analizy”.

Drugi aspekt to nauka na błędach. ➔

REKLAMA

Fundacja
Warszawskie
Hospicjum dla Dzieci
www.hospicjum.waw.pl

Chciałbym
wrócić
do domu

KRS: 0000097123

1%

Fundacja Warszawskie Hospicjum dla Dzieci opiekuje się nieuleczalnie chorymi dziećmi w ich własnych domach. Hospicjum istnieje dzięki wsparciu ludzi, którym bliski jest los ciężko chorych dzieci. Przekaż 1% podatku dzieciom z Warszawskiego Hospicjum dla Dzieci.

→ Peter Norvig: „Nasze modele muszą też obejmować rozmaite zakłócenia. Ludzie mówią z najróżniejszym akcentem i w najróżniejszych miejscach. Jeśli pojawiają się nowe, niezrozumiałe słowa, to staramy się je rozpoznać, a potem śledzimy, co robi użytkownik. Jeżeli źle rozpoznałmy jakieś słowo, to człowiek zwykle sam poprawia je ręcznie i jeszcze raz wysyła zapytanie. Dla nas to bezcenne – wiemy dokładnie, o co mu chodziło. W ten sposób w systemie pojawiają się kolejne akcenty, sposoby mówienia czy występujące w tle hałasy. Następnym razem już lepiej sobie z nimi radzimy”.

Ale rozpoznanie mowy to dopiero początek. W końcu celem nie jest to, by powiedzieć coś do komputera, ale to, by on coś sensownego z naszym żądaniem zrobił. Na przykład przełożył je na inny język. Od dawna działa już usługa Google Translate. Można tam tłumaczyć pojedyncze słowa i całe zdania. Z jej dokładnością jest, delikatnie mówiąc, różnie. Zwłaszcza w języku polskim. Dlaczego tak się dzieje?

Peter Norvig: „Składają się na to dwie sprawy. Po pierwsze, język polski ma bardzo rozbudowaną gramatykę. To wymaga znacznie większej bazy słów i daje dużo więcej możliwości ich łączenia. Ale prawdziwym problemem jest dostępność tekstów. Nasz system tłumaczenia opiera się na podejściu statystycznym. Wyszukujemy, oczywiście w większości automatycznie, w sieci takie teksty, które pojawiają się w dwóch językach i zostały już przetłumaczone przez człowieka. Porównujemy je i na tej podstawie tworzymy bazę powiązanych ze sobą słów i całych zwrotów. Dlatego najlepiej sprawdza się tłumaczenie między językami, które często współlistnieją ze sobą, tak jak hiszpański i angielski w Stanach. Tu przekłady są niemal idealne. Dla polskiego mamy wciąż za małą bazę”.

W dobrym tłumaczeniu bardzo pomogło nam... wejście do Unii Europejskiej. Strony unijne spełniają się bowiem profesjonalnymi tłumaczeniami aktów prawnych i innych dokumentów.

Oliwki po polsku

Najciekawsze dzieje się jednak, gdy połączymy technologię rozpoznawania mowy z systemem tłumaczącym. Mówisz po polsku do telefonu: „Poproszę kilo tych dużych oliwek”, a po chwili komórka powtarza to nienaganą turecczyzną. Czyżby wyjazdy zagraniczne miały być łatwiejsze? Na razie na Androidzie działa eksperymentalna wersja takiego programu tłumacząca niemal na żywo między angielskim

a hiszpańskim. Mówisz, twój rozmówca słyszy tekst w swoim języku, odpowiada, ty słyszysz to w swoim. Na razie trudno to nazwać swobodną rozmową, ale to przecież dopiero początek.

Połączenie rozmaitych technologii związanych z mową od roku wykorzystuje YouTube. Obok wielu filmów pojawiają się dwie małe literki „cc”. Włączenie ich pozwala na wybranie opcji „utwórz listę dialogową ścieżki dźwiękowej”. Kilka sekund i na dole pojawiają się napisy. To system rozpoznawania mowy przekłada na znaki to, co słyszysz. Świetnie mu to wychodzi w przypadku wolno-i-wyraźnie-mówiącego komputera-Hal-z-Odysei-Kosmicznej, a bar-

dzo kiepsko, gdy wsłuchuje się w bardoszybkogadającego nastolatka. A to nie koniec – możemy sobie też zażyczyć tłumaczenia na żywo. Mamy więc uchwycone i przełożone na polski teksty wypowiedziane na przykład po szwedzku. Na razie wszystko jest na etapie testów, ale trzeba przyznać, że robi wrażenie. Tym bardziej że wkrótce te tłumaczenia mogą działać bardzo sprawnie – w ciągu ostatniego roku poprawiono jakość rozpoznawania mowy o 20 procent.

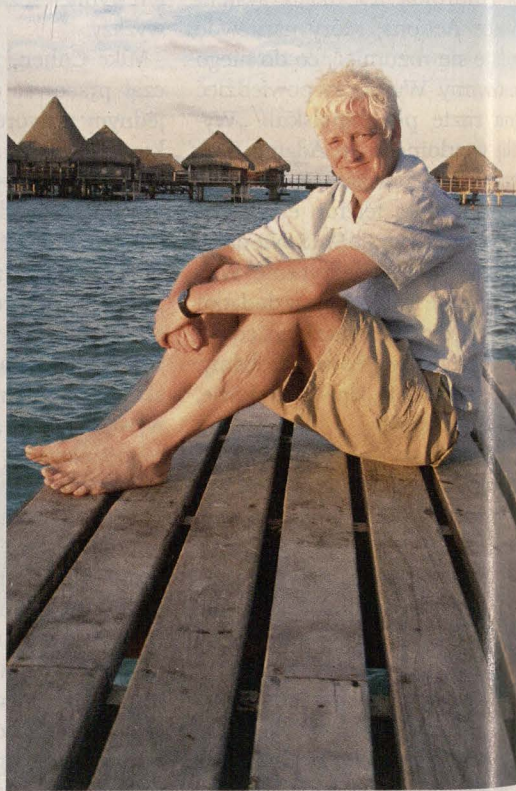
A teraz czeka nas następny krok. Skoro możemy już z maszyną pogadać, to czas popracować nad tym, by było o czym rozmawiać. Ale to już zupełnie inna historia.



For. Archiwum prywatne

Mike Cohen

Szef od spraw mowy w Google, muzyk, kompozytor i gitarzysta. Zanim rozpoczął pracę w Google, był współzałożycielem firmy Nuance, która stworzyła doskonały program do rozpoznawania mowy Dragon NaturallySpeaking. Jako jedno ze źródeł inspiracji wymienia serial „Star Trek”, który ogląda przez niemal całe swoje życie. Ma jeden z nielicznych zachowanych egzemplarzy Radio Rekasa – zabawki z 1911 roku, która reaguje na ludzki głos.



Peter Norvig

Szef całego oddziału badawczego Google, specjalista od sztucznej inteligencji. Przed Google pracował w NASA, gdzie był między innymi autorem projektu Remote Agent skupiającego się na samodzielnej ocenie sytuacji przez maszyny. Jego zdaniem docelowo maszyna powinna umieć odpowiedzieć na każde pytanie, nawet jeśli odpowiedź na nie nie jest jasno zdefiniowana. Jak chyba każdy wizjoner docenia filmy i literaturę science fiction.

NAUKA IDZIE W LAS

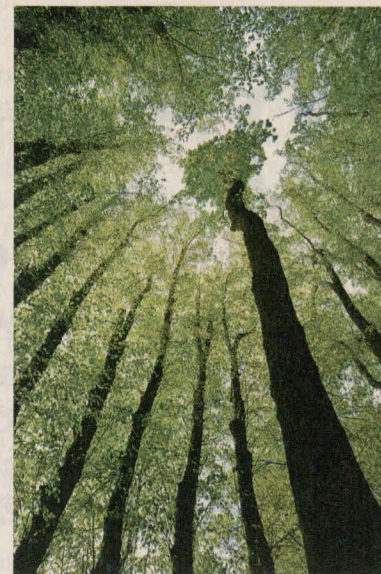
To nieprawda, że kupując papier i opakowania papierowe, niszczymy las. Poznaj fakty i zmień swoje myślenie o używaniu papieru.

Dostajesz maila z sugestią: „Wydrukuj tę wiadomość tylko wtedy kiedy to konieczne”. Albo zmieniasz fakturę z papierowej na e-fakturę. Dokonujesz tych wyborów z myślą, że chronisz środowisko naturalne i lasy. Czy aby na pewno? Zastanów się nad tym. Sektory przemysłowe, które wykorzystują drewno, potrzebują **rosnących lasów**. To leży w ich własnym interesie. W lasach gospodarczych, na miejsce każdego wyciętego drzewa sadzi się od trzech do czterech nowych. Szacuje się, że w krajach rozwiniętych rośnie obecnie o 25% więcej drzew niż w 1901 roku, a w samej Europie lasy przyrastają rocznie o obszar, którego powierzchnia przekracza ponad 1,5 miliona boisk piłkarskich. Kiedy młode drzewa znajdują się w fazie wzrostu, pochłaniają dwutlenek węgla z atmosfery. Zdrowy rozsądek może podpowiadać, że im większe i starsze drzewo, tym więcej dwutlenku węgla pochłania. Ale to znowy nieprawda. W rzeczywistości młode drzewa są znacznie bardziej wydajne w procesie pochłaniania dwutlenku węgla niż stare lasy. Im starsze drzewo, tym wolniej absorbuje dwutlenek węgla. Ponadto, wraz z wiekiem drzewa zaczynają ulegać naturalnemu rozpadowi, który powoduje wydalenie dwutlenku węgla i innych gazów cieplarnianych z powrotem do atmosfery. Dlatego lasem również trzeba zarządzać i to

w sposób zrównoważony, przestrzegając ścisłych zasad, np. wycinając drzewa stare i chore albo przycinając korony wybranych drzew, aby dopuszczać więcej światła do niższych partii lasu. Logiczne, prawda?

Ważne jakiego papieru używasz. Szukaj papieru z znakiem FSC.

Certyfikaty FSC są dobrowolnym oznakowaniem, o które mogą ubiegać się sprzedawcy drewna i jego produktów. Są one dowodem na przestrzeganie zasad ekologii w procesach produkcji leśnej. Kupując papier oznaczony certyfikatem FSC możesz mieć pewność, że pochodzi on z lasu zarządzanego właśnie w sposób zrównoważony, czyli zgodnie z dobrem przyrody, a także dobrem żyjących na jego terenie społeczności, czyli według zasad Dobrej Praktyki Leśnej. Przykładem takiego papieru na polskim rynku są produkty POL International Paper.



REKLAMA

POL... naturalnie

OFFICE *style*

Wymień POLa na nagrody!

Kupuj papiery marki POL i odbieraj nagrody. Wejdź na stronę www.officestyle.pl i sprawdź szczegóły promocji.

Zapraszamy na www.officestyle.pl!

Kupując produkty International Paper z certyfikatem FSC® przyczyniasz się do promowania odpowiedzialnej gospodarki leśnej.

Więcej informacji o papierach POL na www.POLpapierbiurowe.pl

Odzyskać twarz

Dziś każdy przeszczep twarzy – wyzwanie większe niż transplantacja serca – jest szeroko komentowanym wydarzeniem. Jutro zyskamy szansę, by zmieniać twarze jak rękawiczki. Co dzięki temu możemy zyskać, a co stracić?

OLAF SZEWCZYK

Nicolas Cage w filmie Davida Lyncha „Dzikość serca” (1990) nosił marynarkę z węzowej skóry, którą traktował niczym własną skórę – twierdził, że podkreśla ona jego osobowość. Dzięki niej, krótko mówiąc, czuł się bardziej sobą. W thrillerze Johna Woo „Bez twarzy” (1997) Cage wchodzi w cudzą skórę już jak najbardziej dosłownie. Lekarze przeszczepiają mu twarz terrorysty granego przez Johna Travoltę, by – przejąwszy jego tożsamość – odkrył, gdzie ten ukrył bombę.

Twarz niewątpliwie mówi o nas więcej niż marynarka czy jakikolwiek osobisty atrybut wizualny: sylwetka, gestykulacja, fryzura. Determinuje nie tylko pierwsze wrażenie, ale i trwałą opinię. I nie chodzi wyłącznie o to, że – co wszyscy dobrze wiemy – osoby postrzegane jako atrakcyjne generalnie mają w życiu łatwiej. Bywa, że fizjonomia przekonuje innych o rzekomo wyrażanych przez nią cechach charakteru. Nie trzeba udowadniać, jak bardzo potrafi to uprzykrzyć życie – wielu z Was, czytelnicy „Przekroju”, na pewno świetnie o tym wie. Wystarczy lekki asymetryczny zez rozbieżny, by sprawiać wrażenie osoby rozkojarzonej lub nieszczerzej – bo niepatrzającej rozmówcy prosto w oczy. Kwadratowa facjata o grubo ciosanych rysach raczej nie pomoże w próbie przekonania ewentualnego szefa podczas rozmowy kwalifikacyjnej, że dysponujemy wystarczająco finezyjnym, błyskotliwym intelektem, by zasłużyć na posadę. *Last but not least*, nasza kultura już od dziecka wpaja nam – począwszy od kreskówek na dobranoc – jawne kłamstwo, że kto szpetny, ten wredny i głupi, a uroda kroczy pod rękę z inteligencją i dobrocią.

Nic więc dziwnego, że niejeden chętnie zamieniłby swą twarz na inną, lepiej postrzeganą. Do niedawna była to sfera marzeń. W rzeczy samej nadal jest. Postęp chirurgii tkankowej jest jednak na tyle szybki, a perspektywy tak obiecujące, że ów stan rzeczy może się zmienić w nieodległej przyszłości. Już teraz dokonujemy niewyobrażalnych jeszcze wczoraj cudów, przeszczepiając twarze tym, którzy najbardziej tego potrzebują, bo stracili własne.

Bez nosa, oczu, ust, szczęki

13 listopada 2008 roku okazał się dla 22-letniego Amerykanina Dallasa Wiensa wyjątkowo pechowy. Poproszony o pomoc przy malowaniu kościoła w swej parafii Dallas przypadkowo dotknął głową linii wysokiego napięcia. Prąd całkowicie wypalił mu twarz. Wiens ocknął się po trzech miesiącach i wielu operacjach. Nie widział (mimo względnej biologicznej sprawności jedyne ocalałego, choć uszkodzonego oka, ukrytego pod przeszczepioną skórą), nie mówił, oddychał dzięki rurce wprowadzonej do dróg oddechowych przez przednią ściankę tchawicy – innymi słowy: dzięki dziurze w szyi. Najbardziej przerażało go to, że nie czuł pocałunków swej trzyletniej córki.

21 marca tego roku Dallas Wiens zdobył nową twarz. Kierowany przez Bohdana Pomahača zespół ponad 30 chirurgów, anesteziologów i pielęgniarek szpitala Brigham and Women's w Bostonie podczas trwającej 15 godzin operacji przeszczepił Wiensowi twarz od nieznanego dawcy. Nie tylko skórę, ale też mięśnie, nerwy, naczynia krwionośne, gruczoły łzowe, zęby i fragmenty szczęki. Jak

mężczyzna wygląda teraz, jeszcze nie wiadomo. Zwykle do prezentacji pacjentów po przeszczepie twarzy lekarze dopuszczają dopiero wtedy, gdy zejdzie pierwsza opuchlizna. A i wtedy zobaczymy oblicze w fazie przejściowej. Abyśmy mogli w pełni ocenić zmianę, muszą minąć miesiące.

Zdając sobie sprawę ze skali dramatu, który dotknął Dallasa Wiensa, nikt, kto dysponuje choćby szczątkową empatią, nie może mieć wątpliwości, jaką szansę dał mu przeszczep twarzy. Cieszymy się wraz z nim, że dostał szansę na ucieczkę z piekła. Podobnie nikt, kto widział zdjęcia nieszczęśliwów potwornie zdeformowanych nowotworem jamy ustnej, nie wątpi, że chirurgiczna interwencja i częściowy przeszczep twarzy, by mogli dalej normalnie żyć, to błogosławieństwo, na które zasłużyli. A jednak jeszcze niedawno lekarzy dzielił spór o zasadność przeszczepiania twarzy. Gdy w 2002 roku chirurg Peter Butler z Royal Free Hospital w Londynie, przewidując, że już wkrótce taki zabieg będzie możliwy, zadał pytanie, czy to jest słuszne – nie wszyscy tak uważali. Wskazywano na zagrażające życiu osłabienie układu odpornościowego (efekt zażywania leków zmniejszających ryzyko odrzucenia przeszczepu), pojawiały się wątpliwości natury etycznej. Obecnie akceptacja dla takich zabiegów jest powszechna.

Dziś operacje przeszczepienia twarzy można jeszcze policzyć na palcach, ale na taką szansę czekają miliony. Szacuje się, że w samych tylko Chinach z powodu okaleczenia fizis milion osób nie wychodzi z domu. W przeciętnym europejskim kraju każdego roku u tysięcy osób rozwija się nowotwór jamy ustnej – a przecież to tylko jedna z przyczyn deformacji oblicza. Niewielu jednak dostaje od losu taką szansę jak Charla Nash. Pogryziona przez szympansa straciła nie tylko całą twarz, ale i dłonie. Chirurgzy obiecują, że gdy tylko znajdzie się odpowiedni dawca, odzyska i jedno, i drugie.

Niespełna sześć lat historii

Pierwsza częściowa transplantacja miała miejsce 27 listopada 2005 roku we Francji. Isabelle Dinoire, kobieta pogryziona przez swego psa, otrzymała od dawcy w stanie śmierci mózgo-



Nie wiemy, jak dziś wygląda Dallas Wiens (tu z córeczką). Od dwóch tygodni ma nową twarz

wej nos i usta. Operację przeprowadzili chirurdzy Bernard Devauchelle i Jean-Michel Dubernard. W grudniu 2008 roku zespół kliniki w Cleveland kierowany przez polską chirurg Marię Siemionow dokonał pierwszego przeszczepu niemal całej twarzy (około 80 procent tkanki pochodziło od zmarłej dawczyni). Bezprecedensowa operacja trwała 22 godziny. Pacjentką była Connie Culp – kobieta, której mąż wystrzelił z bliska w twarz ze strzelby.

Zabieg się udał, ale tak jak w przypadku wszystkich przeszczepów nigdy nie można mieć gwarancji sukcesu. W rozmowie z „Przekrojem” przeprowadzonej wkrótce po owej historycznej operacji doktor Siemionow nie wykluczyła odrzucenia przez organizm pacjentki nowej twarzy nawet po wielu latach. Tak się dzieje w przypadku 35 procent transplantacji nerek, gdy wydaje się, że niebezpieczeństwa już nie ma. Organizm potrafi się zbuntować, mimo że dawca jest zawsze starannie dobierany. Ważna jest nie tylko zgodność karnacji skóry dawcy i biorcy, możliwie jak najbliższe podobieństwo rysów, o warunkach tej samej płci nie wspominając. Tkanki dawcy i biorcy – różniących się przecież genetycznie – nie mogą reagować na siebie wrogo. Aby zminimalizować ryzyko odrzucenia przeszczepu, pacjent do końca życia musi zażywać leki immunosupresyjne. Niestety ubocznym skutkiem ich stosowania jest obniżenie odporności organizmu, czyli większe zagrożenie ze strony całej rzeszy poważnych cho-

rób. Pierwszy człowiek, któremu przeszczepiono serce – zoperowany przez Christiaana Barnarda pochodzący z Polski 53-latek Louis Washkansky – zmarł 18 dni później na zapalenie płuc.

Historia przeszczepów twarzy jest zbyt krótka, by przesądzić o biologicznych konsekwencjach tych zabiegów. Być może jednak nie będzie też szczególnie długa. Być może będziemy mogli zdobyć nową twarz bez potrzeby zdzierania skóry z dawcy.

Wyhoduj sobie Hepburn

Według specjalizującego się w rekonstrukcjach twarzy brytyjskiego chirurga Iaina Hutchisona przyszłością nie są przeszczepy, ale inżynieria tkankowa bazująca na hodowli komórek. Ot, potrzebujemy tylko odpowiednich protein wytworzonych dzięki inżynierii genetycznej, trochę komórek macierzystych z organizmu pacjenta, technologii wytwarzania form (nadających kształt twarzy) ulegających z czasem biologicznej degradacji w ciele pacjenta – i *voilà!* Umieszczamy formę tam, gdzie być powinna – czyli gdzie ma wyrosnąć nowa twarz – „sadzimy” w niej/na niej komórki macierzyste, pozwalamy im rosnąć cztery miesiące i proszę tylko spojrzeć w lustro: zamiast brzydkiego kaczątka widzimy Audrey Hepburn!

Nie ma wątpliwości, że kiedyś będzie to realne. Nie ma też wątpliwości, że gdy tak się stanie, wielu ludzi z radością wyda ostatni grosz,

by skorzystać z tej możliwości. Nie tylko ofiary dysmorfii – zaburzenia psychicznego polegającego na wiecznym niezadowoleniu ze swego wyglądu. Także ci, którzy świetnie wiedzą, że źle postrzegana twarz to mniejsze szanse na dobrą pracę i dobrego partnera.

Czy to będzie dla nich dobry krok? Co tak naprawdę się zmieni?

Iain Hutchison podczas swego wystąpienia na konferencji TED (Technology Entertainment and Design) przytoczył przykład pacjentki, która z powodu wysuniętej dolnej szczęki i wargi odbierana była jako osoba ponura. Nie zjednywało jej to przyjaciół. W rzeczywistości czuła się zupełnie inaczej, ale nie była w stanie przełamać potęgi stereotypu. Po operacji twarzy jej życie uległo radykalnej poprawie.

Z doświadczeń Hutchisona i innych chirurgów twarzy wynika, że nowe oblicze nie zmienia osobowości pacjenta. Sprawia jednak, że ludzie postrzegają inaczej nie tylko jego fizis, ale i wnętrze. Osoby poddane testom, oglądając zdjęcia pacjentów przed operacjami twarzy i po nich, uważały osoby z nowymi twarzami nie tylko za ładniejsze, ale też za bardziej inteligentne, przyjazne, uczciwe. Czy trzeba przekonywać, że z taką oceną łatwiej jest żyć?

Z drugiej strony nie wiemy jeszcze niemal nic o długofalowych skutkach tak radykalnych transformacji. Wszystko wskazuje na to, że kluczowe dla posiadacza nowej twarzy jest wsparcie ze strony bliskich. Jak zwrócił uwagę Hutchison, z doświadczeń z osobami zdeformowanymi wynika, że miłość rodziny pozwala im zaakceptować siebie takimi, jakimi są. Zapewne w przypadku osób po transplantacji działa ten sam mechanizm. Zarówno pogryziona przez psa Isabelle Dinoire, jak i Connie Culp, której mąż odstrzelił twarz, są matkami i dziś starają się dalej w miarę normalnie żyć. Dinoire zgodziła się, by brytyjski dokumentalista Michael Hughes opowiedział kamerą jej historię (film jeszcze nie powstał). Culp, niewidoma po wypadku, nauczyła się alfabetu Braille'a, pracuje jako konsultantka pomagająca dojść do siebie ciężko oszpeconym ofiarom wypadków.

Jak jednak obce odbicie w lustrze wpłynęło na osoby, które świadomie zrezygnowały ze swego oblicza? Czy tak jak w przypadku przeszczepów ryzyko odrzucenia – tu akurat mentalnego – nie stanie się katastrofą dopiero po latach? Czy nowe, choćby lepsze oblicze nie jest zagrożeniem dla integracji osobowości? Jak nas zmieni?

Przekonamy się o tym zapewne wcześniej niż później.

Rachunek istnienia

„Tak wiele książek, a tak mało czasu” – chciałoby się sapnąć w poczuciu przemożnej bezradności. Ale zaraz, zaraz – czym jest czas? Jak go liczyć? Co to znaczy „wiele”? Polecamy dziś tytuły, które nie unikają takich pytań



FOT. NASA

Wszechświat: życie i twórczość. W zarysie

OLAF SZEWCZYK

Fatalna sytuacja. Jak z niej wybrnąć? Żyjemy nie do końca wiadomo gdzie, nie do końca wiadomo dlaczego, nie do końca wiadomo jak i nie do końca wiadomo po co. To znaczy coś tam niby wiemy, ale raczej nadrabiamy brak wyczerpującej, sprawdzonej wiedzy prowizorką – wiarą religijną lub praktyczną metodą Scarlett O'Hary z „Przeminęło z wiatrem”: „Pomyśl o tym wszystkim jutro”.

Christopher Potter w książce „Tu jesteś! Najkrótszy przewodnik po Wszechświecie” zachęca, by pomyśleć o tym wszystkim już dziś.

Tę znakomitą rzecz napisał nie praktykujący fizyk (choć Potter ma wykształcenie ścisłe i kiedyś potrafił udowodnić matematycznie tezy Einsteina i Gödla), lecz były dziennikarz, redaktor książek i popularyzator nauki. Najważniejsza jest w tej pracy przyjęta perspektywa: autor pisze do laika, który ma ambicję, by jakoś rozproszyć niepokój związany z tym, że kompletnie nie wie, o co „w tym wszystkim” chodzi. Krótko mówiąc: jakie jest jego miejsce we Wszechświecie.

Potter zaczyna od ustalenia skali. Biorąc człowieka za punkt odniesienia i przeskakując o rzędy wielkości, pokazuje po kolei cebulowe warstwy świata, w którym żyjemy: zarówno tego w makro-, jak i w mikroskali. Aby lepiej opisać nasze miejsce we Wszechświecie i kierunek, w którym zmierzamy, przybliża

skrótowo historię nauki – jako historię idei, które badaliśmy i które nas kształtowały. A także historię samego Wszechświata. A także historię życia. To kompendium wiedzy egzystencjalnej w pigułce.

Dobrze się to czyta, bo i język lekki, i barwnych anegdot nie mało, jak ta o spotkaniu Einsteina z Gamowem w Princeton pod koniec lat 40. Gamow powiedział wtedy autorowi teorii względności, że „roztrząsając odkrytą przezeń tożsamość materii i energii, doszedł do wniosku, iż wynika z niej, że gwiazda może powstać z niczego, bowiem energia jej pola grawitacyjnego dokładnie równoważy jej masę”. Einstein tak się przejął, że próbował przejść przez ulicę, nie zwracając uwagi na jadące samochody. Kierowcy musieli gwałtownie hamować, by nie rozjechać zamyślnego fizyka.

Ze względu na przystępność słowa i ujmującą bezczelność autora, który postanowił objaśnić nam z grubsza wszystko, „Tu jesteś!” zbiera pochwały dla jednej z najlepszych książek popularnonaukowych ostatnich lat. Zasłużenie.



Christopher Potter
„Tu jesteś! Najkrótszy przewodnik po Wszechświecie”, przeł. Piotr. J. Szwejcer, wyd. CIS, Warszawa 2011, 39 zł

Flirt z królową

PIOTR STANISŁAWSKI

Właściwie książka Christopa Drössera „Matematyka. Daj się uwieść” powinna być w księgarniach zapakowana w mocną folię. A to dlatego, że jest absolutnie wzorcowym przykładem zasady „nie oceniaj pochopnie”. Jeśli bowiem przekartkujesz ją zaintrygowany zestawieniem tytułu z okładką o cokolwiek seksualnym podtekście, to niemal na pewno szybko odstawisz tomik na półkę. Zniszczą cię liczne wykresy i wzory umieszczone w dodatku na groźnie wyglądających szarych polach.

Bo z „Matematyką...” jest jak z matematyką. Nie da się tu skakać z kwiatka na kwiatek, to nie poezja. Te niebezpieczne wykresy okażą się całkiem zrozumiałe, jeśli tylko poświęcimy odrobinę czasu na uczciwe przeczytanie każdego rozdziału od samego początku. A warto, bo Christoph Drösser dobrze wie, jak interesująco można pokazać przedmiot będący przecież postrachem większości uczniów. Jedną z najciekawszych zasad, jakie można znaleźć w jego książce, głosi: „policzyć, choćby po tebkach”. Bo w liczeniu wcale nie musi chodzić o dokładność. Często bowiem znacznie większą wartość ma dobre oszacowanie niż myląca dokładność. Właśnie przy takim założeniu Drösser zupełnie nieźle szacuje, czy w głębokim oddechu wciągniemy choć jedną molekułę, która uszła wraz z ostatnim tchnieniem z płuc Goethego. A chwilę później skacze na głębokie, choć mętne wody poprawności politycznej i statystycznych aspektów parytetów płci, gdzie szybko przekonujemy się, że nasz zdrowy rozsądek nie jest wart funta kłaków.

Cała ta matematyczna wyprawa ma tę ogromną zaletę, że z jednej strony ani przez chwilę nie odrywamy się od rzeczywistości, a z drugiej – raz po raz przekonujemy się, jak bezradny w dzisiejszym świecie może być człowiek, który boi się matematyki. Jeśli więc (a zapewne tak jest) ta dziedzina wiedzy kojarzy ci się ze szkolnymi męczarniami, to odżałuj te 30 złotych i spróbuj dać się uwieść matematyce. Taki wiosenny flirt z królową nauk.



Christoph Drösser
„Matematyka. Daj się uwieść”, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2011, ok. 30 zł

NAJLEPSZE STRONY SUKCESU

w nowej niższej cenie



MŁODZI ZDOLNI
przyszłość polskiego kina



WOODY ALLEN
twarz z kamienia



MILIONY DYKTATORÓW
sukces w czasie rewolucji



Sukces możesz kupić w kioskach, salonach prasowych, na stronie www oraz w App Store

TEŻ PYTANIE



Zadaj pytanie, odpowiemy na nie. Jeśli coś cię nurtuje, a nie wiesz, kogo spytać, pisz na adres nauka@przekroj.pl. Za najciekawsze pytania przyznajemy nagrody

URSZULA DĄBROWSKA



1. Dlaczego kobiety otwierają usta, gdy malują oczy?

Wbrew obiegowej opinii nie wszystkie panie tak robią. Poza tym mężczyznom także zdarza się równie dziwaczne zachowanie, kiedy robią sobie makijaż oka – wystarczy podejrzeć za kulisami mimów czy drag queen. To po prostu odruch. Na dodatek nie jest on pozbawiony sensu. Szerokie otwarcie ust i jednocześnie uniesienie brwi wygląda jak zdziwienie w stopniu karykaturalnym, ale ma zupełnie inne zadanie. Chodzi o to, by jak najbardziej ułatwić dostęp do oka. A przed tym natura broni się, jak może. Przede wszystkim oczy są osadzo-

ne w oczodołach, które leżą głębiej niż powierzchnia reszty twarzy. Po co? By chronić ten delikatny narząd przed uszkodzeniem – w końcu przyjmuje się, że siatkówka to właściwie część mózgu. Wystające policzki, łuki brwiowe i brwi same w sobie chronią oczy przed uszkodzeniami. Dzięki nim nie każdy kontakt z gałęzią w gęstym lesie kończy się wyłupieniem ślepi. Ale podczas robienia makijażu taki układ utrudnia manipulowanie pędzelkami, szczoteczkami i kredkami (oraz milionem innych sprzętów do poprawiania urody). Rozdziawienie ust może wyglądać śmiesznie, ale pomaga: rozciąga mięśnie twarzy, spłaszcza policzki i daje lepszy dostęp do powiek i rzęs.

MAREK RACZKOWSKI



2. Czy natura wynalazła koło?

Koło to bez wątpienia genialny wynalazek. Jednak w pełni docenić go można jedynie tam, gdzie są utwardzone drogi. Spróbujcie przejechać rowerem po gęstym lesie, podmokłej łące albo piaskowej wydmie – w różnorodnym środowisku nawet najślabsze kończyny są dużo bardziej wydajne i sprawne. To może tłumaczyć, dlaczego natura (wyłączając z niej człowieka) prawie wcale nie korzysta z takiego środka lokomocji. Prawie, bo w przelotnym świecie zwierząt można znaleźć wyjątki. Okazuje się, że niektóre salamandry i gąsienice w sytuacji zagrożenia zwijają się tak, by przypominać małe oponki (zainteresowanych odsyłamy do filmu: www.goo.gl/XJPvL). W nachylonym terenie to doskonały sposób na ucieczkę. Wystarczy pozwolić, aby grawitacja zrobiła swoje. Niestety, turlanie się działa tylko w jedną stronę – w dół. Pod górkę konieczne jest już mozolne wspinanie. Noga za nogą, odnóże za odnóżem.



Nasze nagrody:



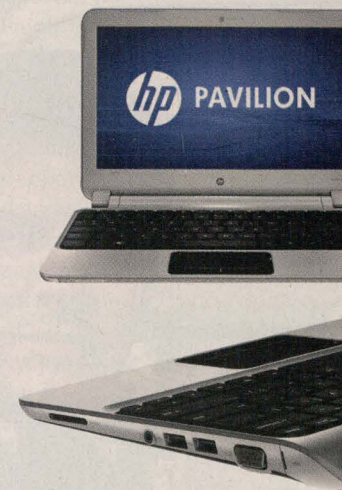
Mary Roach „Bzyk. Pasjonujące zespolecie nauki i seksu” oraz „Duch. Nauka na tropie życia pozagrobowego” – wydawnictwo Znak;
Gary Marcus „Prowizorka w mózgu” i Richard E. Nisbett „Geografia myślenia” – wydawnictwo Smak Słowa



CYWILIZACJA OD ŚRODKA KORZYSTAJ

Mały, wydajny, niedrogi

Nowe netbooki mają wreszcie wszystkie atuty



HP Pavilion dm1, jeden z pierwszych netbooków nowej generacji, kosztuje 1799 złotych – ponaddwukrotnie mniej niż netbook Apple'a MacBook Air także z ekranem 11,6". Żyje bez gniazdka do 9,5 godziny

Niesiemy wesołą nowinę wszystkim, którzy od dawna czekają na dobry przenośny komputer nie rujnujący budżetu. Nowe konstrukcje napędzane elektroniką AMD zwaną Brazos są wreszcie tym, na co czekaliśmy. Przekonał nas o tym model HP Pavilion dm1 – jeden z pierw-

szych netbooków najnowszej generacji. Dzielnie stawiał czoła wyzwaniom w warunkach polowych. Czego oczekujemy od torebkowca? Ma być niewielki, ma sprawnie obsługiwać najróżniejsze programy, ma długo tyrać na baterii i nie kosztować fortuny. Netbooki dziś domi-

nujące w sklepach – z procesorami Atom – są co prawda nieduże i niedrogie, nierzadko zdolne do wielogodzinnej pracy daleko od gniazdka, ale trudno uruchomić na nich coś innego niż edytor tekstu czy przeglądarkę internetową. Zaraz sapią z wysiłku. Konstrukcje bardziej wy-

Lek na chuć



Wiosna, drogie ssaki naczelnie, sprzyja myślom o przedłużeniu gatunku. Tak już jest. Gdy jednak obiekt o pożądanym – oceniwszy na oko – cechach genetycznych nie podziela woli prokreacji, świadomość poniesienia porażki darwinowskiej przyprawia o spleen. Wtedy pomaga fenyletyloamina, czyli „hormon miłości”. Dużo jej w czekoladzie. Poczujemy się.

dajne z kolei kosztują więcej i zwykle szybko zżerają prąd. Nowa elektronika AMD typu Fusion, czyli procesory zintegrowane z układami graficznymi, jest i wydajna, i mało prądożerna, i tania. Wkrótce netbooki z Brazos zaleją sklepy. Warto poczekać.

REKLAMA

Wodą pisane podróże w nieznane

SZTUKA ŻYCIA Z WYCZUCIEM



WODY DO PRASOWANIA

NOWOŚĆ!

TRZY NOWE, AROMATYCZNE WODY DO PRASOWANIA Z SERII „PODRÓŻE Z ZAPACHEM”: „PARIS. PARIS”, „ZANZIBAR” I „ORIENT EXPRESS” – SAMA ZDECYDUJ DOKĄD DZIŚ SIĘ WYBIERZESZ

www.pachnacaszafa.pl





François Ozon kręci raz do roku. I nie ogląda się na innych – robi filmy z wyraźnym autorskim piętnem

Polityka, nostalgia i gwiazdy

FRANÇOIS OZON nie jest już cudownym chłopcem francuskiego kina. Jest jego cudownym mężczyzną, który nakręcił właśnie kolejny świetny film o kobiecie – „Potiche. Żona doskonała”

MAŁGORZATA SADOWSKA

W amerykańskiej prasie wywiady czy sylwetki napisane na podstawie rozmowy z gwiazdą często zaczynają się od opisów w rodzaju: „Russell Crowe przyszedł ubrany w bladnoróżowy T-shirt i czerwone trampki. Zamówił piwo, już od rana był wyluzowany”. Zazwyczaj irytują mnie te szczegółowe oględziny odzieży i obuwni, ale tym razem i ja muszę od nich zacząć. Bo na kameralnym spotkaniu z dziennikarzami w paryskim Grand Hotelu zorganizowanym przez Unifrance 44-letni François Ozon wyglądał urzekająco: błękitny szal, nieskazitelnie biały

kohierzyk i takież mankiety koszuli wystające spod swetra. Promienny uśmiech, zero arogancji. Ujmująco miły i grzeczny, i jeszcze przystojny. Do tego właśnie nakręcił świetny film pełen starych francuskich szlagierów – przede mną siedział zięć idealny.

Świat stoi w miejscu

Od początku kariery Ozon uważany był (i uważał samego siebie) za *enfant terrible* francuskiego kina. Owszem, skończył reżyserię, a nawet filmoznawstwo na Sorbonie, ale od początku deklarował, że nie zamierza po-

dążać utartymi ścieżkami i poruszać tematów społecznych, jak robią jego starsi koledzy. Uwielbiał kino gatunków, inspirowali go tak różni twórcy, jak Hitchcock, Fassbinder i Chabrol. – Należę do pokolenia reżyserów, którzy nie lubią się powielać – tłumaczył. – Moje kino jest odbiciem mojego filmowego gustu.

Kręci filmy niemal co roku, lubi opowiadać o zbrodni, manipulacji, seksualności, budować wyrazistych bohaterów, a najchętniej bohaterki. Uwielbia pracować z aktorkami i, jak twierdzi, nawet aktorów traktuje jak kobiety – co nie wszyscy, przyznaje, lubią.

Nigdy nie ukrywał, że jest gejem, a w jego filmach bardzo często pojawiają się postaci homoseksualistów. Syn Suzanne Pujol, bohaterki „Potiche”, jest gejem, który emancypuje się razem z matką. – To bardzo podobna relacja do tej, którą ze swoim synem ma Ségolène Royal. Wspierał ją podczas kampanii prezydenckiej i do dziś jest jej doradcą – opowiada Ozon, który poparł w wyborach kandydatkę socjalistów. Sam dostał innego rodzaju wsparcie – gdy Ingmar Bergman przyznał, że lubi wracać do „Pod piaskiem”, i nazwał film młodego kolegi arcydziełem.

Jest piekielnie zdolny i diablo przystojny, a przecież niewiele brakowało, by François Ozon przestał się nam podobać. Po niesłychanie obiecujących początkach, kiedy robił jeden udany film za drugim, wyglądało, że nagle stracił wyczucie i talent. Nudny „Czas, który pozostał”, pretensjonalny „Angel”, słabutkie „Schronienie”, wreszcie zrobiony bez polotu „Ricky”. Co się stało z cudownym chłopcem francuskiego kina, który w wieku 29 lat zadebiutował kapitalnym „Sitcomem”, potem nakręcił zachwycające „Pod piaskiem” i „8 kobiet”, by rzucić na kolana w „5x2”?

Wyjaśnienie wydaje się proste: Ozon stracił dystans, zapragnął głębi, która pociągnęła go niemal na dno. – Kiedy osiągasz sukces, rodzi się pokusa, by zostać diwą – mówił o bohaterce „Angel”, ale te słowa można odnieść do niego samego. On, mistrz campu, zapomniał, że brak ironii rodzi kicz, a patos jest w złym guście. Na szczęście – dla siebie i dla widzów – odzyskał poczucie humoru. „Potiche. Żona doskonała” to powrót do komediowego stylu z „8 kobiet”, do teatralności, starych francuskich szlagierów, nostalgii, celebrowania detali, do filmowych aluzji, kapitalnych kostiumów, bezbłędnego szusowania między bajką a realizmem; wreszcie – do wielkich gwiazd. Główne role w „Potiche” zagrała Catherine Deneuve, Gérard Depardieu i Fabrice Luchini.

Tym razem za materiał wyjściowy posłużyła popularna we Francji bulwarówka Pierre’a Barilleta i Jean’a-Pierre’a Grédy’ego, którą Ozon zaadaptował na ekran, sporo po drodze zmieniając. – Chciałem nieco bardziej skomplikować tę historię – podkreślał. Ale także uczynić ją czymś więcej niż sentymentalną podróżą w przeszłość. „Potiche” jest więc komentarzem do współczesności – zapewne o wiele bardziej czytelnym nad Sekwaną niż nad Wisłą (choć i tu umieszczona u schyłku lat 70. historia kury domowej, która postanawia się wyemancypować, niespodziewanie zysku-

je na aktualności). – Lata 1977–1978 to epoka Valéry’ego Giscard d’Estainga, który był wówczas bardzo niepopularny – opowiada reżyser. – To także czasy kryzysów, między innymi naftowego, i nieustających protestów. Bliscy zwycięstwa w wyborach byli socjaliści, ale wygrali dopiero w 1981 roku. Dostrzegłem wiele analogii pomiędzy Giscard d’Estaingiem a Sarkozyem. Obaj chcieli natychmiast zerwać z przeszłością: d’Estaing z Pompidou, Sarkozy z Chirakiem. I obaj chcieli zmodernizować Francję w amerykańskim stylu. Ich plany upadły wraz z kryzysem ekonomicznym. Miałem niesamowitą frajdę, wyszukując te analogie, szczególnie gdy dostrzegłem, że po 40 latach świat znów jest w tym samym miejscu.

Sam Ingmar Bergman nazwał „Pod piaskiem” Ozona arcydziełem

W mniejszej skali i w krótszym czasie Ozon też zatoczył koło: powrócił do starych tematów, do sprawdzonych już raz konwencji (obyczajowej komedii i melodramatu) i do Catherine Deneuve, z którą pracował, robiąc swój największy jak dotąd hit – „8 kobiet”.

Jej odwaga, jego kłopoty

W cudownej pierwszej scenie „Potiche”, kojarzącej się ze słodkimi kreskówkami Disneya, bohaterka Deneuve Suzanne Pujol biegnie przez słoneczny (aczkolwiek zasłany lekką mgiełką) las, a wokół niej baraszkują zwierzątka: a to sarenka, a to wiewiórki, a to... kopulujące zawzięcie zajączki. I już od pierwszych minut wiadomo, że oto powrócił stary dobry Ozon ze swoim ironicznym spojrzeniem i campowym stylem. W jego filmie Deneuve gra żonę fabrykanta parasolek (ale nie z Cherbourg), która z tytułowej żony doskonałej będącej tylko kolejnym bibelotem w eleganckim domu („Twoja jedyna robota to podzielać moje opinie!” – wrzeszczy na nią mąż Luchini) wybija się na niepodległość.

„Potiche” to kobieta (lub mężczyzna), która jest tylko eleganckim dodatkiem do małżonka, trofeum potwierdzającym status i pozycję. Kimś, kogo zadaniem jest pięknie wyglądać, pachnieć i... siedzieć cicho.

Ciekawe, że do roli idealnej pani domu wybrał François Ozon aktorkę, która tak jednoznacznie kojarzy się z niezależnością, ikonę nie tylko francuskiego kina, ale i francuskiego

feminizmu. Nie zapominajmy, że w 1972 roku była Deneuve jedną z sygnatariuszek słynnego „Manifeste des 343 salopes” („Manifestu 343 suk”) – apelu o prawo kobiet do aborcji. Widzieć niegdysiejszą aktywistkę, niegdysiejszą piękność, a dzisiaj damę krzątającą się w fartuszkach po kuchni, to nie lada gratka. I przemysłany zabieg. Bo na naszych oczach Suzanne Pujol zrzuca nie tylko pęta patriarchy, ale i dres, domowe stroje i fartuszek, by w finale stać się... Catherine Deneuve. Wciąż atrakcyjną, choć już niemłodą kobietą sukcesu, filmowaną już w zupełnie innej, paradoksalnej konwencji. – Catherine jest wszystkim, tylko nie *potiche*. Jest wolna, stoi mocno na ziemi, jest i zawsze była typem nowoczesnej kobiety – tłumaczy Ozon.

Za jego sprawą Catherine Deneuve po raz kolejny spotyka się też w kinie z Gérardem Depardieu. I znów mają romans. – Jako aktorzy i legendarni kochankowie francuskiego kina wnoszą na ekran dodatkową energię – mówi reżyser.

Przy czym pamiętać trzeba, że to, co dziś najczęściej wnosi ze sobą do filmu Depardieu, nazywa się... kłopoty. – Chciałem pracować z nim już wcześniej, gdy kręciłem „Kropki deszczu na rozpalonych kamieniach”, adaptację sztuki Fassbindera – opowiadał w Paryżu Ozon. – Ale ludzie mówili mi: „Nie! On nigdy nie nauczy się swoich kwestii”, więc zdecydowałem się na mniej znanego aktora.

Tym razem gwiazdor kwestii się nauczył, ale na planie i tak były z nim problemy. Nie tylko odmówił prób do bardzo ważnej sceny tańca z Deneuve (ma rację reżyser, mówiąc, że tańczyć tak, jakby byli z Bee Gees, co akurat znaczy, że zabawnie), ale przyszedł do pracy, wypijwszy „o parę drinków za dużo”. – Byłem załamany – uśmiecha się uroczo Ozon. Aktor wymagał ciągłego trzymania w ryzach i mocnej reżyserskiej ręki, bo jak mówi François Ozon, wciąż powtarzał tylko: „Pospieszmy się, nie zamierzam sterczeć tu przez cały dzień!”.

Zresztą jak dobry syn, który tłumaczy ojca pijaka, reżyser bronił swojego aktora podczas festiwalu w Wenecji, gdy ukazał się wywiad Depardieu dla brytyjskiej prasy, w którym tenże nazywał Juliette Binoche „absolutnym zerem”. „To nic takiego. Po prostu był pijany” – usprawiedliwiał go Ozon, wykazując się godną podziwu wyrozumiałością dla wysoków upadłego gwiazdora. – Oni są dla mnie jak rodzice – mówił o Deneuve i Depardieu. A on jest, jak widać, kochającym synem.

Naprawdę: zięć idealny. Starzy jego chłopaka muszą być zachwyceni.

Nie pił w Spale, nie spał w Pile...

...ale wystąpi na krakowskim przeglądzie kabaretowym Paka. W programie „Od A do Z z Grupą MoCarta” **ARTUR ANDRUS** pojawi się w towarzystwie Zbigniewa Zamachowskiego

ROZMAWIAŁA ANNA JASTRZĘBSKA

Czy wykonuje pan zamierzający zawód?

– Nigdy tak nie myślałem. Kabareciarze zawsze byli, są i prawdopodobnie będą. Był nawet taki moment, że kabaretem interesowało się zbyt dużo ludzi. Kiedy na eliminacje do Paka zgłaszało się 120 grup, przybierało to formę masowego zjawiska.

Przeglądy takie jak Paka rzeczywiście wyławiają i promują talenty?

– Paka ma dużą wartość promocyjną, była pierwszym festiwalem kabaretowym, który zaczęła pokazywać telewizja. Wystarczy, że na plakacie napisze się „laureaci Paka”, a ludzie, nie wiedząc, co to za kabaret, przychodzą, bo spodziewają się czegoś ciekawego.

Co śmieszy współczesnego Polaka?

– Zwłaszcza w programach telewizyjnych obserwuję, że największy aplauz jest wtedy, kiedy ktoś użyje mocnego słowa. To mnie smuci. Jednak kabarety, które kilkanaście lat temu zdobywały nagrody – dajmy na to na Pace – nie zmieniają swojego stylu, a mimo to wciąż mają publiczność. Ludzie idą za swoimi ulubieńcami.

Co musi mieć kabaret, by przyciągnąć ludzi, którzy zrywają boki na komediach takich jak „Weekend”?

– Dziś kabaret musi znaleźć sposób na dotarcie do ludzi. Dużą rolę odgrywa Internet, ale sprawy nie załatwia. Do niedawna, jeśli nie było kogoś w telewizji, rzeczywiście nie istniał. Pomocną może też być choćby audycja, taka, jaką prowadzę w radiowej Trójce. Jej celem jest bycie w kontrze do rozrywki najniższych lotów... Oczywiście każdy ma czasem ochotę obejrzeć lekki program, tak jak napić się alkoholu. Zatem na tego typu kabarety ludzie chodzą, żeby poćwiczyć mięśnie brzucha. Jednak to prędzej czy później nudzi i zaczyna się poszukiwanie czegoś nowego.

Zatem dziś trudniej jest dotrzeć z żartem do widza?

– Popularne są dziś kabaretony – publiczność płaci 150 złotych i ogląda sześć kabaretów. Potem trudno ją przekonać, żeby dała 40 zło-



Artur Andrus: – Nie lubię siebie oglądać, to żadna atrakcja. Wystarczy, że patrzę na siebie codziennie rano przy goleniu

tych za jeden. Ale warto przypominać, że obieranie kabaretu z 30. rzędu Sali Kongresowej to nie to samo co zobaczenie go w kameralnej sali. Nastąpił przesyt kabaretem. Programów telewizyjnych nazywanych kabaretami jest mnóstwo, choć często niewiele mają z nim wspólnego. Kiedyś istniało pojęcie estrady. Teraz wszystko wrzuca się do jednego worka. Ludzie nie rozpoznają poszczególnych programów, powtarzają się te same twarze.

Uśmiechnąłby się pan, oglądając siebie w „Szkle kontaktowym”?

– Nie oglądałbym siebie w „Szkle kontaktowym”. Nie lubię siebie oglądać, to żadna atrakcja. Wystarczy, że patrzę na siebie codziennie rano przy goleniu.

Czy program taki jak „Szkło kontaktowe” przejmie funkcję kabaretu?

– Nie. Program kabaretowy polega na tym, że coś jest wymyślone od początku do końca, ktoś ma pomysł na formę, skecze. Tu wszystko dzieje się spontanicznie, nikt nie wie, jakie materiały będą użyte, choć oczywiście możemy przypuszczać, że jeśli prezes idzie na za-

kupy, to w programie to się pojawi. To jest towarzyska zabawa, gadanie jak w domu, tylko ze świadomością, że są włączone kamery.

A pana co najbardziej śmieszy?

– Śmiesz mnie dziwnie proste rzeczy, na przykład filmik, na którym ktoś misternie się przewraca. Śmiesz mnie rzeczy, które wymyślili moi koledzy. Śmieszy mnie polityka czasami, choć polityką w kabarecie się nie zajmuję. Nie mam pomysłu, jak ugryźć temat, żeby było naprawdę zabawnie. Ale chętnie bym dobry kabaret polityczny pooglądał.

W Polsce takich brakuje.

– Brakuje, bo polityka jest wszędzie! Do kabaretu idzie się odpocząć. Kiedy zacząłem jeździć na festiwale kabaretowe na początku lat 90., polityki tam nie było. Pakowskie środowisko założyło sobie apolityczność. Był to czas przemian, wszyscy byli w politykę zaangażowani, a kabaret to odreagowywał.

Czy – jak głosi tytuł jednej z pańskich piosenek – pił pan kiedyś w Spale lub spał w Pile?

– Nie, to jest science fiction, po prostu spodobala mi się zbitka nazw. Ale wygląda na to, że to może się kiedyś zdarzyć! Byłem niedawno na zjeździe licealnym w rodzinnym Sanoku i nagle podszedł do mnie starszy pan. Powiedział, że bardzo lubi tę piosenkę i jest proboszczem parafii w Pile. Zapewnił, że gdyby kiedykolwiek znalazł się w Pile, to spanie mam zapewnione, a i nad tym drugim można popracować.

Krakowska Paka

To jeden z najpopularniejszych i najstarszych przeglądów kabaretowych. Pierwsza edycja w 1989 roku odbyła się bez eliminacji, wystąpili ci, którzy przyjechali. Ojcem chrzestnym Paki jest Jacek Fedorowicz, juror przeglądu od jego narodzin aż do dziś. Kabaret Moralnego Niepokoju, Potem, Ani Mru-Mru, Łowcy.B to artyści na Pace nagradzani i przez nią promowani. Nikt jednak do tej pory nie powtórzył sukcesu Grupy Rafała Kmity, która trzykrotnie stanęła na podium, a dwa razy zdobyła Grand Prix. Tegoroczna edycja w krakowskim Centrum Kultury Rotunda potrwa od 13 do 18 kwietnia.

KAMIENCE HERBOWE

Kraków, ul. Poznańska



www.mieszkaniowy.as

biuro sprzedaży:
ul. Wrocławska 55, Kraków
tel. 12 633 86 40

Niezależnie od wszystkiego

MAŁGORZATA SADOWSKA

Pewna polska grupa filmowa stworzyła niegdyś własną definicję kina niezależnego, twierdząc, że jest to „kino, na którym nikomu nie zależy”. Faktycznie, ta grupa już nie istnieje. Ale dziś, gdy obserwujemy, jak przybywa festiwalu i przeglądów offowych produkcji, a filmy z Sundance coraz częściej walczą o Oscara (w tym roku były to choćby „Do szpiku

kości”, „Wszystko w porządku”, „Blue Valentine”, „Waste Land” czy „Wyjście przez sklep z pamiątkami”), można dojść do wniosku, że mimo wszystko wspomniani filmowcy nie mieli racji.

Krakowska Off Plus Camera, jedna z najmłodszych imprez filmowych w Polsce, dyktowana jest w całości kinu niezależnemu i kiedy przegląda się jej bogaty program (poni-

żej nasz wybór najatrakcyjniejszych tytułów festiwalu), widać, jak wielki kłopot mamy dziś z definicją offu. Czy to filmy, które powstają poza systemem, czyli – w przypadku Stanów – poza wielkimi studiami? Ale wielkie studia mają dziś swoje „niezależne” oddziały, jak na przykład Fox Searchlight odpowiedzialny za sukces „Slumdog. Milionera z ulicy” czy „Małej miss”. Jak ma się głoszna „Dziewczyna

z marzeniami”, reżyserski debiut Drew Barrymore z gwiazdorską obsadą, do „Dwóch bram snu” Alistaira Banksa Griffina, poetyckiego, wychodzącego poza wszelkie konwencje symbolicznego obrazu o umieraniu? A przecież oba filmy są niezależne. Czasem off bywa po prostu manierą: ile już widzieliście filmów o trudach dorastania na przedmieściach? Ciepłych historyjek o sympatycznych dziwa-

kach? Być może prawdziwe kino niezależne to nie filmy produkowane poza systemem (czymkolwiek on jest), lecz te, które poszukują nowego języka i – niezależnie od tego, czy za kamerą stoi gwiazda, czy nieznany nikomu debiutant – dotykają tematów, których mainstream unika jak ognia. Takich filmów na tegorocznej Off Plus Camerze nie zabraknie. Niektóre z nich będziecie mogli zoba-

czyć w nietypowej scenerii – w tym roku festiwal organizuje także pokazy plenerowe na dachach krakowskich kamienic. Konieczne weźcie w nich udział. Bo przecież off odstrasza komary.

Off Plus Camera, 8–17 kwietnia, Kraków



Dyrektorzy festiwalu Off Camera opowiadają o programie, gościach i atrakcjach imprezy na www.przekroj.pl oraz w „Przekroju” na iPadzie

„Przekrój” poleca

Najciekawsze filmy festiwalu Off Plus Camera



Me and Orson Welles

reż. Richard Linklater

„Jeden z najlepszych filmów o teatrze, jakie kiedykolwiek widziałem” – napisał o „Me and Orson Welles” najbardziej szanowany amerykański krytyk Roger Ebert. My nie śmiemy dodać nic więcej poza tym, że to adaptacja książki Roberta Kaplowa, opowieść o chłopaku, który dostaje rolę w „Juliuszu Cezarze” reżyserowanym przez samego Orsona Welleśa (pierwowzorem chłopca był 15-letni Arthur Anderson).



I'm Still Here

reż. Casey Affleck

Jeśli jeszcze nie wiecie, co to mockumentary, debiut reżyserski aktora Caseya Afflecka będzie doskonałą lekcją najnowszych trendów w dokumencie. Film jest biografią Joaquina Phoenixa („Spacer po linie”), ale w znacznym stopniu sfalszowaną. Część – niekiedy szokujących – materiałów jest prawdziwa, część sprokurowana na potrzeby opowieści o aktorze, który postanowił zostać raperem. Błyskotliwy film o tym, co znaczy być celebrytą.

Le père de mes enfants

reż. Mia Hansen-Løve

Mały wielki film, jeden z tych, które wwiercają się w mózg i brzuch i nie pozwalają o sobie zapomnieć. A przecież to taka zwyczajna, prosta historia... Oto pewien niezależny producent. Oto jego szczęśliwe, udane



życie. Oto jego pasja – filmy. Oto jego drobne kłopoty...

„Le père de mes enfants” inspirowany był historią Humberta Balsana, podziwianego, odważnego francuskiego producenta, szefa Europejskiej Akademii Filmowej, który w 2005 roku popełnił samobójstwo.

The Dry Land

reż. Ryan Piers Williams

Debiut byłego dziennikarza pokazany na festiwalu w Sundance, a wyprodukowany przez Amerykę Ferrare, znaną powszechnie jako



„Brzydula Betty”. Ferrara zagrała w filmie żonę żołnierza, który wraca po służbie w Iraku do swojej miejsciny. Mężczyzna nie jest w stanie zapomnieć o wojennych doświadczeniach ani porozumieć się z bliskimi. Rusza więc na poszukiwania kolegów z wojaka, licząc, że oni pomogą mu się odnaleźć.

Jeśli pojawicie się na pokazie, możecie liczyć na spotkanie z samą Ferrarą, która przyjeżdża do Krakowa.

Les Petits Mouchoirs

reż. Guillaume Canet

Jedna z największych gwiazd francuskiego kina po raz kolejny staje za kamerą (nakręcił między innymi

niezły kryminał „Nie mów nikomu”), by tym razem opowiedzieć historię grupy przyjaciół. Mają po trzydzieści parę lat, prowadzą udane życie, jak co roku razem spędzają wakacje nad morzem. Tym razem jednak beztrudną zakłóca to, że w paryskim szpitalu został ich kolega. Film zebrał mieszane recenzje, ale we Francji odniósł gigantyczny sukces frekwencyjny. Ludzie to lubią!

Strefa wojny

reż. Tim Roth

Debiut reżyserski brytyjskiego aktora Tima Rotha („Cztery pokoje”, „Pulp Fiction”, „1900: Człowiek legenda”), jednego z gości specjalnych Off Plus Camery. Podczas festiwalu odbierze on nagrodę Pod Prąd przyznawaną twórcom, którzy konsekwentnie podążają własną drogą. „Strefa wojny” to film nienowy (1999), ale wart przypomnienia. Wstrząsająca, porażająca i mroczna jak lochy Watykanu opowieść o dojrzewaniu i o rodzinie, która gnije od środka, choć na pozór wiecie tak zwane normalne życie.

Politist, adjectiv

reż. Corneliu Porumboiu

Zwycięzca w canneńskim konkursie Un Certain Regard w ubiegłym roku, jeden z najgłośniejszych rumuńskich filmów ostatnich lat (jak oni to robią?!).



Choć bohaterem jest policjant, a tematem śledztwo, nie spodziewajcie się wbijającego w fotel kryminału. To rzecz składająca się z tego wszystkiego, co nie znalazłoby się w policyjnym filmie: opowieść o nudzie, rutynie, głupim prawie i pracy, która nie przynosi satysfakcji.

Four Lions

reż. Christopher Morris

Chcecie się rozerwać? Nic prostszego. Oto kapitalna czarna komedia o islamskich terrorystach. Młodzi mułmanie z Sheffield postanawiają zostać zamachowcami-samobójcami. Kiedy jednak przychodzi do czynów, nie mogą się zdecydować, w co uderzyć. Wystrzałowa satyra na religijny fanatyzm.

Laurel Canyon

reż. Lisa Cholodenko

Świetna okazja, by przekonać się, skąd wzięła się reżyserka „Wszystko w porządku”. „Laurel Canyon” Cholodenko nakręciła przed niemal dekadą, ale opowiada o aktualnych również dziś sprawach: kryzysie w związku, seksualnych fantazjach i przekona-

niu, że prawdziwe życie i prawdziwa miłość jest gdzie indziej. No i znów ma imponującą obsadę: Frances McDormand gra wyzwoloną matkę/teściową, a Christian Bale i Kate Beckinsale – zakochaną parę, która sprowadza się do jej domu w Los Angeles. Od tego momentu już nic nie jest w porządku.

Till det som är vackert

reż. Lisa Langseth

Nagrodzony na festiwalu w Pusan film szwedzkiej reżyserki draży temat tożsamości, wykluczenia, aspiracji i dyskretnych klasowych podziałów w na pozór zdemokratyzowanym świecie. To opowieść o dziewczynie z patologicznego domu, która urze-



czona muzyką klasyczną postanawia stać się kimś innym. W przenośni i dosłownie. Mocne kino.

Tropa de Elite 2

reż. José Padilha

Kontynuacja nagrodzonych Złotym Niedźwiedziem w Berlinie „Elitar-

nych” (skądinąd wielu dziennikarzy dziwiło się, że o wiele lepsza druga część nie trafiła do konkursu tegorocznego Berlinale). Eksplozja przemocy, kartele narkotykowe, zepsuty od środka system, korupcja i on jeden, pułkownik Nascimento (Uwaga! Nieco złagodniał), który uważa, że gwałt powinien się gwałtem odciskać. To zdecydowanie film dla poszukiwaczy mocnych wrażeń.

Spotkanie

reż. Thomas McCarthy

Wszyscy, którzy kochacie „Sześć stóp pod ziemią”, spieszcie do Krakowa stanąć oko w oko z Nathanielem Fisherem. Na Off Plus Camerę przyjeżdża z grającym go Richardem Jenkinsem! Jeśli nie widzieliście serialu, wyjaśniamy, że Jenkins to doskonały aktor, którego mogliście widzieć w „Tajne przez poufne”, „Królestwie”, „Okrucieństwie nie do przyjęcia”, „Człowieku, którego nie było”, „Morzu miłości”, „Hannah i jej siostry”, „Czarownicach z Eastwick” i kilkudziesięciu innych filmach, w których zagrał w ciągu swojej dłuuuużej kariery. Za rolę w „Spotkaniach” był zaś nominowany do Oscara.

William S. Burroughs: A Man Within

reż. Yony Leyser

Dokument o autorze „Nagiego lunchu”, w którym znalazły się niepublikowane dotąd materiały archiwalne oraz wywiady z przyjaciółmi pisarza. Świetny, wnikliwy portret ojca chrzestnego beatników, jednej z najważniejszych i najbardziej inspirujących postaci XX-wiecznej kultury.

Szczegóły na www.offpluscamera.com



"The Runaways: prawdziwa historia" kobiecego rocka

Odlotofe dziewczyny

Filmowe Oblicza Kobiet nie muszą być gładkie

KAROLINA PASTERNAK

Tu nie chodzi o wolność kobiet, tu chodzi o kobiece libido – tak bohater „The Runaways: prawdziwa historia”, producent muzyczny Kim Fowley, tłumaczy dziewczynom z zespołu The Runaways, co powinna reprezentować ich muzyka. Ten cytat świetnie nadaje się na motto całej kobiecej sekcji Off Plus Camera – Filmowe Oblicza Kobiet. Z wyjątkiem filmu o The Runaways – grupie, która jako pierwszy rockowy band składała się z samych dziewczyn – akcja pokazywanych tu obrazów rozgrywa się współcześnie. Kobiety mają prawa polityczne, równy dostęp do zawodów, mogą żyć samotnie i tak też wychowywać dzieci. Nie mają za to prawa bawić się jak mężczyźni. Szczególnie jeśli nie chcą być z tej zabawy rozliczane.

Wojnę takiemu stanowi rzeczy wypowiadają świetnie znane aktorki i reżyserki. Pamiętna Gertie z „E.T.”, czyli Drew Barrymore, rockmanka i aktorka Juliette Lewis, gwiazda głośnego „Juno” Ellen Page, idolka nastolatków Kristen Stewart ze „Zmierzchu”, Dakota Fanning zapamiętana jako serialowa córka Ally McBeal oraz Jamie Babbit, reżyserka „Cheerleaderki”. Co prawda wszystkie mają na koncie liczne filmy, w których nastolatki wzdychają do niedostępnych rówieśników (choćby wspomniana saga „Zmierzchu” ze Stewart oraz „Cheerleaderka” właśnie), a dorosłym kobie-

tom życie upływa na szukaniu idealnego faceta („Stosunki międzymiastowe” albo „Prosto w serce” z Barrymore), ale nie te tytuły pokazuje Off Plus Camera. Na festiwalu przekonacie się, co dziewczyny kręcą po godzinach, poza systemem hollywoodzkich wytwórni.

Tak się bawią dziewczyny

„Dziewczyna z marzeniami”, reżyserski debiut Drew Barrymore z Juliette Lewis, Marcją Gay Harden i Ellen Page, to kapitalna opowieść o Bliss (Ellen Page), nastolatce z Teksasu. Bliss rozdarta jest między ambicjami matki, wychowanej w latach 60. na wzorową panią domu i takie wzorce chcące przekazać dziewczynie, a namiętnością do... wyścigów na wrotkach. „Wiesz, co mówią ludzie o tych dziewczynach z tatuażami? Myślisz, że łatwo jest im znaleźć pracę, dostać kredyt albo pójść na dobre stu-



„Dziewczyna z marzeniami”: wrotkarki górą!

dia?” – tak matka Bliss przestrzega córkę przed wrotkarskim towarzystwem. Świat wrotkowych derbów to czysta adrenalina, ostre dziewczyny i zawzięta rywalizacja, z walką wręcz włącznie. Cel uświęca środki. Tętniąca muzyką Kings of Leon, MGMT i Radiohead „Dziewczyna z marzeniami” ma coś z klimatu teenage movies z lat 80., ale też coś z ducha „Podziemnego kręgu” Finchera. I jak ten ostatni zdobywa w USA status filmu kultowego.

Podobnie jak „Itty Bitty Titty Committee” Jamie Babbit, która jest jedną z reżyserek serialu „Słowo na L”. Bohaterka jej filmu, Anna, wstępuje do grupy bardziej radykalnej niż drużyna wrotkarek. To CIA, skrót od Clits in Action, po polsku: Lechtaczki w Akcji. Feministyczno-lesbijska bojówka niszczy billboardy, które gloryfikują wyidealizowany model kobiecego piękna, i umieszcza w parkach rzeźby ikon feminizmu.

Oprawa do innych niż te lansowane przez reklamę i telewizję kształtów oraz swobodę ich prezentowania walczą też dziewczyny z dokumentującego świat burleski „Tournée”. To jeden z nielicznych w sekcji filmów w reżyserii mężczyzny, znanego z „Motyla i skafandra” francuskiego aktora Mathieu Amalrica. Noszące oryginalne pseudonimy (Dirty Martini, Kitten on the Keys i Mimi le Meaux) bohaterki przypominają kobiety z obrazów Rubensa. W filmie bez kompleksów pokazują roznieżłowane ciała. Nie wstydzą się tego, co robią, ani jak wyglądają. Artystki z „Tournée” na co dzień robią to, co w filmie. Tańczą w białych nie przed publicznością. Nie dlatego, że nie potrafią inaczej zarobić na życie. Dlatego, że to lubią. Lubią się bawić. Tak jak „Dziewczyna z marzeniami” z filmu Barrymore.

Tak się bawi publiczność

W kobiecej sekcji Off Plus Camera znalazło się też miejsce dla klasycznego dramatu o relacjach między matką a córkami („Chicas”) i minimalistycznego mockumentary (fabuła udająca dokument) o kanadyjskiej reżyserce „La fille de Montreal”, ale większość tytułów to energetyczne filmy z silnymi głównymi bohaterkami, jasno podszyte przesłaniem feministycznym, a mimo to z potencjałem komercyjnym. To nowy nurt w offowym kinie. Dotąd feminizm w filmie kojarzył się głównie z kinem eksperymentalnym, pokazywanym nie na festiwalach, ale raczej wystawach, z twórczością conceptualną, niedostępną dla większości widzów. Co oczywiście wynikało z tego, że kino przez lata było placem zabaw wyłącznie dla mężczyzn. Już nie jest. Najwyższy czas zobaczyć, jak bawią się dziewczyny!

Pani Prospera

Offowy Szekspir? Czemu nie! Na krakowskim festiwalu zobaczymy nowatorską „Burzę” Julie Taymor

JACEK WAKAR

Co bardziej inteligentni filmowcy pytani o scenarzystę idealnego powtarzają do znudzenia jedno nazwisko: William Szekspir. Jego sztuki – niezależnie od gatunku – są gotowym materiałem dla kina. Wymienić wszystkie ekranizacje jego dramatów to zadanie tyleż jawne, co po prawdzie niemożliwe. Przynajmniej w tak małym tekście. Poprzestańmy zatem na Szekspirze na wskroś klasycznym z filmów Laurence’a Oliviera i Franca Zeffirellego, łączącym tradycję ze współczesnymi emocjami z dzieł Kennetha Branagha i Michaela Radforda (świetny „Kupiec wenecki” z Alem Pacino i Jeremym Ironsem), eksperymentalnym („Sposób na Szekspira” Pacino), wreszcie odważnie wrzucanym w pozornie obcy dla siebie kulturowy kontekst. W tym rosnącym w siłę nurcie są między innymi popkulturowy „Romeo i Julia” Luhrmanna, umiejscowiony w faszystowskich Niemczech „Ryszard III” McKellena, ostatnio rozgrywający się podczas wojny na Bałkanach „Koriolan” Ralpha Fiennesa. A także do granic wytrzymałości brutalny (jak literacki oryginał) „Tytus Andronikus” Julie Taymor.

Nazwisko tej brytyjskiej reżyserki nie jest w Polsce obce. Tak, to ona nakręciła głośną „Fridę” z Salma Hayek, a potem przewróciła się na musicalowym „Across the Universe”. Ekranizacją ostatniego arcydzieła Szekspira wraca do kina, które zawsze najbardziej ją interesowało. Ostentacyjnie nowoczesnego, garściami czerpiącego ze zdobyczy technologii, a jednak zachowującego szacunek dla

tradycji. Zadanie miała zresztą ekstremalnie trudne, bo „Burza” niezwykle rzadko udaje się na scenie, a co dopiero w kinie. Najczęściej służy jako wariacja na temat (kręcili je Derek Jarman i Peter Greenaway w do bólu manierycznych „Księgach Prospera”). Nie przypominam sobie, by ktokolwiek zbudował na ekranie ekwivalent stworzonego przez Szekspira świata.

Tymczasem Taymor się udało. To fakt, że jej film przypomina rozbudowany teledysk, ale nie gubi przy tym Szekspirowskich słów i sensów. No i forma wydaje się uzasadniona. Przecież Ariel z dramatu jest duchem, ma zatem ponadnaturalne zdolności pojawiania się w kilku miejscach jednocześnie, umie rozpętać burzę, stworzyć najbardziej skomplikowaną intrygę. U Taymor gra go znany z „Pachnidła” Ben Whishaw i jest to najbardziej niezwykle Ariel, jakiego widziałem na ekranie. Dzięki efektom specjalnym raz jest złamanym cierpieniem efebem, za chwilę niedotykającym elfem, który rozszczepia się na wiele postaci. Pretensjonalne? Być może. Jednak Taymor świadomie gra kiczem, w dodatku buduje swoją „Burzę” z olśniewających obrazów. Wydaje się, że znajduje w ten sposób przepis na filmowego Szekspira początku XXI wieku, w tym samym stopniu przemawiającego do młodego widza poprzez słowa co uzasadnione wizualne atrakcje.

Reszta w zasadzie zgadza się z oryginałem. Z jednym, bagatelą, wyjątkiem. Nie ma Prospera, ale jest Prospera. Gra ją wspaniale,



Nie kobieta, nie facet... Ariel (Ben Whishaw) to duch jak się patrzy

zgodnie z teatralnym kanonem, Helen Mirren. Można powiedzieć oczywiście, że Szekspir nie od rzeczy uczynił starego maga mężczyzną, a tego typu zabawy adaptacyjne zawsze kończą się źle. Taymor zrobiła jednak film inspirowany dramatem, a nie wierny mu w każdym calu. W dodatku dzięki obsadzeniu Mirren rzecz zyskuje

dodatkowy wymiar. Mirren jest i Prospera, i aktorką wcielającą się w tę rolę. Bliższa staje się jej relacja z córką (Felicity Jones). Zatem można i tak.

A może wszystko dzieje się w zmęczonej głowie starej czarodziejki? Julie Taymor dopuszcza w swoim filmie i taką możliwość. Przekonajcie się sami.

REKLAMA

Historia fotografii

GENIUSZ ZAKŁĘTY W FOTOGRAFII

170 lat historii fotografii w specjalnym wydaniu DVD

DZIENNIK GAZETA I PRAWA Radio PiN PRZE KROJ Gazeta.pl Historia foto Ofotopolska.pl M2 FILMS

Droga do domu

Peter Weir w głośnych „Niepokonanych” opowiedział kawałek polskiej historii. Polskiej, bo po naszymu bohaterskiej, symbolicznej i unurzanej w błocie

WOJTEK KALUŻYŃSKI

W eir mówi, że polski los wydaje mu się jednym z najciekawszych tematów XX wieku. Od dawna chciał zrobić film o polskim bohaterstwie, fenomenie narodu wybranego, przegranego i odrodzonego. W „Niepokonanych” mówi o czymś, co nie miało prawa się udać, a jednak się powiodło – o niezwykle ucieczce z sowieckiego łagru. Podstawą scenariusza była książka „Długi marsz”, która ukazała się w Wielkiej Brytanii w 1956 roku. Jej autor, polski emigrant, weteran wojenny Sławomir Rawicz (zmarł w 2004 roku), opisał historię wędrowki, w którą wiosną 1941 roku wyruszyła siódemka uciekinierów. Ruszyli z okolic Jakucka (mniej więcej 500 kilometrów od koła podbiegunowego), kierując się na południe, żeby dotrzeć do Indii. Pokonali 6,5 tysiąca kilometrów. Minęli jezioro Bajkał, przemierzili pustynię Gobi, Tybet i Himalaje. Maszerowali z jedną siekierą i nożem, bez mapy, kompasu, telefonu, radia. Trzej polscy żołnierze, amerykański Żyd (inżynier, budowniczy moskiewskiego metra), Serb, łotewski ksiądz i ukraiński kryminalista.

W połowie lat 50., gdy zimna wojna rozgorzała na dobre, wspomnienia Rawicza przemycali za żelazną kurtynę cząstkę prawdy o sowieckich obozach. Książka sprzedawała się w nakładzie 25 milionów egzemplarzy i została przetłumaczona na 25 języków. W Polsce nie mogła się ukazać, podobnie jak w innych krajach bloku sowieckiego. Wydana została dopiero na początku lat 90. I pewnie Rawicz zachowałby status bohatera, gdyby nie sygnały, że nie mógł przeżyć tego, co opisał. W 2006 roku

dziennikarze BBC oraz amerykańska historyk Linda Willis odkryli, że Rawicz wstąpił do polskiej armii w Rosji, a nie w Anglii, a w czasie rzeckomej ucieczki służył już w Iranie. Inne dokumenty też świadczyły o tym, że Rawicz zmyślił całą historię. Dziś już wiadomo, że jednak nie całą, bo trasę z Syberii do Indii naprawdę przeszło kilku podróżników, co potwierdzili po latach świadkowie. Wszystko wskazuje na to, że Rawicz ukradł wspomnienia Witoldowi Głińskiemu, Polakowi spod Wilna, żyjącemu obecnie w Kornwalii.

Dokument o prawdziwym bohaterze „Długiego marszu” i „Niepokonanych” kręci właśnie brytyjski dziennikarz John Dyson, który odnalazł Głińskiego. Dla Weira nie jest ważne, czy opowiada prawdę, czy fikcję. Istotniejszy jest temat, akcja oraz historyczne realia urastające do rangi alegorii. Weir przeczytał „Archipelag Gułag” Sołżenicyna, „Inny świat” Herlinga-Grudzińskiego i „Mój wiek” Wata, funkcję konsultantki zaś powierzył autorce „Gułagu” Anne Applebaum. Te odrobione lekcje widać w dbałości o szczegóły obrazu łagrowego przedśmieszka piekła. Ale nie tylko o rekonstrukcję Weirowi chodziło, a już na pewno nie o sięganie do genezy totalitaryzmu. Raczej o portret ludzkiego heroizmu bez wielkich słów i gestów.

Niewiele wiemy o bohaterach. Obserwujemy z daleka cierpienie fizyczne, relacje zredukowane do tego, co niezbędne, by przeżyć w ekstremalnych warunkach. Do czasu, gdy pojawia się wśród nich kobieta, córka zlikwidowanych na rozkaz Stalina polskich komunistów, która zaczyna pośredniczyć w kontaktach. Dopiero

wtedy zezwierzeceni ludzie tracą anonimowość, zyskują rangę osób. Udało się reżyserowi spektakularną szkołę przetrwania połączyć z niepokojącym pejzażem dehumanizacji. Niby wedle schematu kina przygodowego, ale podskórnie wbrew niemu.

Weir zaangażował do „Niepokonanych” hollywoodzkie gwiazdy. Świetną kreację stworzył Ed Harris. Niezły w roli urki, czyli grepsującego rosyjskiego kryminalisty, jest Colin Farrell. Głównego bohatera, polskiego oficera Janusza, gra Jim Sturgess. Jest w tym wcieleniu Polakiem z naszych archetypicznych snów – odważnym, honorowym, inteligentnym, sprawiedliwym, a na dodatek przystojnym. Zdjęcia kręcono w naturalnych plenerach. Wyszło pięknie, momentami nawet za pięknie, bo przypomina to za bardzo „W pustyni i w puszczy”. Przygodowa akcja zamyka się klamrą pokazującą naszą najnowszą historię w telegraficznym skrócie. Rok '56, '68, '70, '81, wreszcie '89. Gomułka, Gierek, Jaruzelski, Wałęsa i Mazowiecki. Za taką reklamówkę prezydent Komorowski powinien wpiąć Weirowi w klapę honorowy medal za zasługi.

To tylko reklamówka, bo owa sekwencja jako metafora marszu przez historię jednak się nie udała. Drażni też językowa wieża Babel i aktorzy łamiący sobie języki na polskich przekleństwach, ale film i tak jest niezły, choć zwolenników czytanek ku chwale ojczyzny nie zadowoli. Bo ani razu nie pada słowo „patriotyzm”, nie powtarzają się narodowe symbole. Liczy się człowiek i czyny – bez wielkich słów. To najmilszy hołd, jaki hollywoodzkie kino kiedykolwiek nam złożyło.



Łagier jako przedśmieszka piekła – kadr z „Niepokonanych” (w środku Colin Farrell)

Piękna

4.2" WYŚWIETLACZ Z MOBILE BRAVIA® ENGINE



Sony Ericsson
make.believe



Bestia

ANDROID™ 2.3 GINGERBREAD

Na zewnątrz – piękny design. Wewnątrz – technologiczna bestia. Exmor R™ w kamerze pozwala na kręcenie nawet przy małym oświetleniu, a wyświetlacz Mobile Bravia® zapewnia doskonałą widoczność nawet w pełnym słońcu. Ale nie wierz nam na słowo. Rzuć wyzwanie Sony Ericsson Xperia™ arc na www.facebook.com/SonyEricssonPoland

BRAVIA ENGINE

Exmor R
for mobile

XPERIA arc

Kieruje mną zmysł powonienia

O życiu między Poznaniem a Los Angeles, festiwalu Transatlantyk oraz o nowym koncercie Jankiela opowiada wybitny kompozytor **JAN A.P. KACZMAREK**, laureat Oscara za muzykę do filmu „Marzyciel”



ROZMAWIA
KATARZYNA JANOWSKA

Jan A.P. Kaczmarek

58 lat; choć dziś jest znany głównie jako kompozytor filmowy, zaczynał w teatrze. Współpracował z Teatrem Laboratorium Jerzego Grotowskiego i pisał muzykę do spektakli Teatru Ōsmego Dnia (1977–1979). Później wspólnie z Grzegorzem Banaszkiewiczem stworzył Orkiestrę Ōsmego Dnia, z którą koncertował w całej Europie i w Stanach Zjednoczonych, gdzie nagrali debiutancki album „Music for the End”. W 1989 roku wyjechał na stałe do Los Angeles i zaczął pisać ścieżki dźwiękowe do filmów. Współpracował między innymi z Lechem Majewskim, Agnieszką Holland, Jerzym Kawalerowiczem i Yurkiem Bogayeviczem. W 2005 roku dostał Oscara za ścieżkę dźwiękową do „Marzyciela” Marca Forstera o pisarzu Jamesie Matthew Barriem, autorze „Piotrusia Pana”.

Kiedy myślisz „dom”, jakie miejsce przychodzi ci do głowy?

– Przez większość mojego życia domem była Polska, potem przez 22 lata Los Angeles, a teraz stoję w rozkroku. W Poznaniu tworzę festiwal Transatlantyk, pod Poznaniem otwieram Instytut Rozbitek. Od sierpnia będę intensywnie w obu miejscach. To niezwykle inspirujące, że można być jednocześnie w dwóch światach, choć bywa to trudne. Mam nadzieję, że ktoś zbuduje samolot, którym ze Stanów będzie się lecieć do Polski trzy godziny.

Czyli kierunek jest ze Stanów do Polski.

– Mam w sobie bardzo silny polski kod, zmodyfikowany jednak przez dwie dekady spędzone w Ameryce.

Na czym ta modyfikacja polega?

– Ameryka wymusza dyscyplinę. Czas romantycznych zrywów, pięknych gestów już minął. Powodzenie towarzyszy tym, którzy krok po kroku idą do przodu. Nauczyłem się dobrze organizować twórcze uniesienia. Z naszą przeszłością, historią nie jest to łatwe. To jest kwestia oprogramowania naszej głowy. Trzeba szoku albo przynajmniej bardzo silnej presji, aby wymusić na sobie taką zmianę. Jeśli chciałem przetrwać w Ameryce, nie miałem wyboru. Musiałem się dostosować do jej reguł. W Instytucie Rozbitek między innymi nad tym chcę pracować z młodymi ludźmi z Polski – uczyć ich, jak odnaleźć się w świecie, jak zachować tożsamość, kiedy wyłączyć emocje tam, gdzie one szkodzą.

I tego chce uczyć artysta? To brzmi jak korporacyjne pranie mózgu...

– Artysta, jeśli chce dziś coś zdziałać, musi mieć świadomość reguł, które rządzą biznesem, bo sztuka i film to także biznes. Kiedy przed laty grałem w Teatrze Ōsmego Dnia, a potem jeździłem po Polsce z moją Orkiestrą Ōsmego Dnia, byłem przekonany, że artysta jest odpowiedzialny tylko wobec absolutu. To było piękne, ale dziś już na coś takiego nie mógłbym sobie pozwolić. Minęły czasy beztróskiego indywidualizmu, nawet wielkie gwiazdy już nie kapryszą. Kiedyś wstrzymywano zdjęcia, bo gwiazda miała migrenę. Dziś raczej wymieni się aktora, niż narazi produkcję na dodatkowe koszty.

Czy dziś w ogóle można być artystą? Z tego, co mówisz, wynika, że trzeba przekreślić własne ego i być gotowym niemal na każdy kompromis.

– Bez wątplenia trzeba wiedzieć, kim się jest, gdzie jest granica kompromisu, której nie mogę przekroczyć. Jeśli artysta tego nie wie, staje się bezrefleksyjnym dawcą usługi. Tworzy produkt, a nie sztukę. Fundamentalne pytanie, przed którym staje dziś młody człowiek, brzmi: jak pozostać sobą i jednocześnie funkcjonować na rynku. Rynek zmusza do unifikacji, do bycia elastycznym i dyspozycyjnym, a sztuka rodzi się z poczucia tożsamości, indywidualności. Za to dostaje się nagrody. W muzyce, w designie, w malarstwie szuka się kogoś, kto ma coś własnego, jakąś skazę, a nie kogoś podobnego do innych. Tylko to wywołuje zaciekawienie, fascynację. I wtedy najczęściej włącza się system. Producenci, inwestorzy mówią artyście, że chcą z nim pracować, ale pod warunkiem, że będzie tańczył ich ta-



nec. I wówczas pojawia się problem: jak zachować indywidualną skazę i jednocześnie grać z rynkiem.

Zdobywca Oscara też musi stąpać po tej linii?

– Każdy musi. Pamiętam bunt w czasach studenckich, kiedy powiedzenie „nie” wydawało się bardzo proste. Mówimy „nie”, bo tak powinien zachować się człowiek moralny. Potem się okazało – i tego nauczyła mnie Ameryka – że kompromis jest wpisany w każdą międzyludzką transakcję. Pozostaje tylko kwestia jakości tego kompromisu, czy jest mądry, czy żałosny. Czy nas wzmacnia, czy degeneruje.

Masz jakiś patent na odróżnianie dobrych kompromisów od złych?

– Wierzę w intuicję. Wchodząc w związki zawodowe z innymi, nigdy nie mamy pełnej wiedzy na temat danego przedsięwzięcia. Decyzja, przynajmniej moja, zawsze oparta jest na zmyśle zapachu. Albo coś pachnie ciekawą przygodą, albo nie. I tak jestem w dość komfortowej sytuacji, bo zaczynam pracę, kiedy film jest już nakręcony, oglądam pierwszy montaż i mogłoby się wydawać, że już wiele wiem. Ale różnie z tym bywa. Pamiętam pierwszy montaż „Marzyciela”, daleki od tego, co potem zobaczyliśmy w kinie. Siedziałem w pierwszym rzędzie, za mną siedzieli reżyser i producent. Myślałem: Boże, jak im powiedzieć, że ten film nie działa. Ale z drugiej strony myślałem: zagrali w nim tak utalentowani ludzie jak Johnny Depp, Kate Winslet, Julie Christie, Dustin Hoffman, jest zdolny reżyser i producent, który łatwo się nie podda. Doświadczenie podpowiadało mi, że mają jeszcze czas, żeby nad tym popracować, i materiały, które mogą wykorzystać, a których jeszcze nie użyli. Gdybym był młodszy, mniej doświadczony, pewnie powiedziałbym →

„Producenci i inwestorzy mówią artyście, że chcą z nim pracować, ale pod warunkiem, że będzie tańczył ich taniec. I pojawia się problem: jak, grając z rynkiem, pozostać sobą

JAN A.P. KACZMAREK

→ im, że nie widzę w tym filmie miejsca dla siebie. Ale skupiłem się na tym, co było ewidentnie dobre, czyli na grze aktorskiej. Rewelacyjnie zagrali Winslet, Depp i Hoffman. Na tym się skupiłem i tego uczyć studentów na całym świecie. Jeżeli mają wątpliwości, powinni skupić się na jednym autentycznie dobrym elemencie. Przy „Marzycielu” postanowiłem nie przejmować się tak zwanym *flow*, czyli energią, której nie było.

Dzięki muzyce Jana Kaczmarka energia się pojawiła.

– Tak widzę sens mojego zawodu. Muzyka w filmie ma dawać energię, porządkować emocje. Dobrze napisana muzyka wygładza kanty, sprawia, że coś, co nie działało, nagle staje się zachwycające.

Zawodzi cię czasem powonienie?

– Widzę, że chcesz, żebym zrobił rachunek sumienia. Los mi sprzyja, ale tuż przed Oscarem zaproponowano mi zrobienie muzyki do filmu o wyścigach konnych na południu Stanów. To miał być ultraamerykański film opisujący kulturę hodowców koni i ich rodzin. Temat zupełnie mi obcy, ale właśnie dlatego wydawał się interesujący. W trakcie pracy zorientowałem się, że to będzie zapychacz sal kinowych, kino familijne. Na szczęście producenci postanowili wymienić kompozytora i dzięki temu nie musiałem się pod tym podpisać.

A często cię podmieniano?

– Bardzo rzadko, ale ta praktyka nie jest czymś wyjątkowym. Ponieważ muzyka powstaje pod koniec pracy nad filmem, to kiedy coś jest nie tak, producenci, a najczęściej i sam reżyser, uważają, że za pomocą muzyki rozwiążą wszystkie problemy. I zaczynają się nerwowe ruchy. Jeżeli coś poważnie szwankuje w scenariuszu, w strukturze filmu, to nawet najlepsza muzyka tego nie uratuje.

Z czym ci się kojarzy słowo „transatlantyk”?

– Pierwsze skojarzenie to oczywiście Gombrowicz, ale jeśli pytasz o mój festiwal...

...który nazywa się Transatlantyk i w sierpniu ruszy w Poznaniu.

– W tym kontekście to słowo jest przede wszystkim metaforą podróży intelektualnej i emocjonalnej, w którą chcemy zabrać uczestników i gości. Transatlantyk odnosi się też do mojego życia, które jak już wspomnieliśmy, toczy się równolegle w dwóch światach. Moi przyjaciele związani z Berlinem zakwestionowali tę nazwę, powiedzieli, że taki podział w sztuce filmowej jest *passé*. Dziś według nich coraz bardziej liczy się

kino irańskie, koreańskie, chińskie, zaczynamy odkrywać skarby poukrywane w różnych zakątkach świata odległych i od Europy, i od Stanów. W jakimś sensie mają rację, ale nie do końca. Rynek światowy jest zdominowany przez kino amerykańskie i w mniejszym stopniu przez filmy europejskie. Nie słyszałem sporów o kinematografię koreańską, natomiast wielokrotnie uczestniczyłem w dyskusjach o przyszłości kina europejskiego lub amerykańskiego właśnie. Jeśli robię swój festiwal, mam prawo wybrać to, co mnie interesuje. A ciągle najbardziej ciekawi mnie napięcie między Ameryką a Europą. Oczywiście nie tracę z oczu reszty świata.

Na waszej stronie można przeczytać, że chcecie stworzyć pierwszą artystyczną platformę, która poprzez muzykę i film będzie budować silniejsze związki między sztuką a społeczeństwem.

„Unikam małych projektów, wolę pracę nad filmami dla wielomilionowej publiczności. Nie wierzę, że to głupia masa, którą trzeba ignorować

JAN A.P. KACZMAREK

stwem. Brzmi to dość utopijnie. Wierzysz, że poprzez sztukę można dziś cokolwiek budować w społeczeństwie?

– Bardzo w to wierzę. To nie dzieje się w ułamku sekundy. Na to trzeba czasu. Wierzę w edukację rozumianą jako przepływ wartości, informacji. W Polsce mamy z tym poważny problem. Za mało rozmawiamy o tym, co jest naprawdę wartościowe. Braki w edukacji dotyczą nie tylko młodych ludzi, ale też całego społeczeństwa. Mnie uderza brak logiki, pomieszczenie pojęć w publicznym dyskursie. Zanim zająłem się muzyką, skończyłem prawo w Poznaniu, gdzie miałem wybitnego profesora od logiki. Nauczył mnie myśleć i wyrażać się precyzyjnie. Kiedy więc słyszę dyskusję wybitnych polskich ekonomistów na temat OFE, to nie dziwi mnie, że nic z niej nie wynika, bo ludzie kompetentni w swojej dziedzinie nie są w stanie mówić jasnym językiem.

Dla mnie OFE są powtórką tego, co niedawno wydarzyło się w Stanach. Amerykanie boleśnie przekonali się (kilku moich kolegów straciło duże pieniądze), że nie wolno grać emeryturami na giełdzie. Natomiast my, jako

raczkująca cywilizacja kapitalizmu, mamy złudzenia, że giełda i sprywatyzowane fundusze zabezpieczą naszą przyszłość. To jest śmiechu warte. Giełda jest cudownym urządzeniem, kiedy jest uczciwa, a czasy stabilne, gospodarka się rozwija, inwestujemy. Natomiast kiedy panuje kompletny chaos, bardziej przypomina ruletkę. Dziwię się, że poważny człowiek, jakim jest Leszek Balcerowicz, nie dostrzega tego. Miałby rację 10 lat temu.

To jest ustawa sprzed 10 lat. Ale czy o tym też chcesz rozmawiać podczas swojego festiwalu?

– A dlaczego nie? To będzie festiwal idei dostarczanych za pomocą filmu, muzyki. Na ideach chcemy się skupić.

I co będzie jego główną ideą?

– Jak to co? Obecnie najważniejsze wydarzenie na świecie, czyli rewolucja arabska.

Chcecie tak mocno wchodzić w politykę?

– Trzeba rozumieć, co się dzieje w świecie. Ignorancja kończy się tym, że przy urnie wyborczej nie mamy pojęcia, jaką decyzję podjąć. Kierujemy się rzeczami trzeciorzędny: kolorem koszuli polityka, zgrabnym sloganem, albo zdeorientowani i zniechęceni nie idziemy głosować. Tymczasem ignorując politykę, stajemy się zakładnikami we własnym kraju. Koncepcja społeczeństwa obywatelskiego jest czymś fantastycznym, tyle że nie jest realizowana, bo mnóstwo błyskotliwych, inteligentnych ludzi nie widzi sensu, motywacji do zaangażowania się w życie społeczne bądź polityczne. Chciałbym, żeby festiwal Transatlantyk choć w małym stopniu przyczyniał się do zmiany tego nastawienia. A wydarzenia w świecie arabskim będą mieć poważny wpływ na przyszłość świata. Przecież to jest też pytanie o to, kto będzie zarządzał ropą naftową, która ciągle jest podstawowym źródłem napędu cywilizacji. Stoimy przed wielką niewiadomą. W którym kierunku pójdzie ten miliard ludzi, bo tyłu to może dotyczyć, jeśli rewolucja się rozszerzy? To jest pytanie, które stawiają sobie politolodzy na całym świecie. Czego chcą Arabowie? Pewnie wolności, ale czego jeszcze? Czy swoją nową tożsamość będą budować w opozycji do zachodniego świata? Miejmy nadzieję, że będą mieli takie szczęście jak my podczas naszej Wiosny Ludów, że znajdą lepszą przyszłość w jakiejś harmonii z naszym światem i że to jest wspólna początek ich drogi do wolności. Mają do czego wracać, bo historia i kultura arabska są gigantyczne.

Rozumiem, że debata na ten temat odbędzie się podczas festiwalu. Ambitne plany.

– Wierzę w siłę kropli, która draży skalę. Może jest w tym pycha, ale uznałem, że jak spadać,

to z dobrego konia. Wolę zrobić festiwal odważny niż nijaki.

Na czymś się wzorujesz? Masz jakiś przepis?

– Staram się znaleźć składniki wysokiej jakości, mądrze je połączyć i ugotować z tego potrawę, jakiej jeszcze nikt nie przyrządził. W ramach festiwalu odbędzie się międzynarodowy konkurs dla młodych kompozytorów. W jury zasiądzie między innymi prezydent Warner Bros. do spraw muzycznych i dyrektor muzyczny Sundance Institute. Chętni do wzięcia udziału dostaną po dwa fragmenty filmu: jeden fabularny, drugi animowany. Będą musieli skomponować muzykę, sami przygotować nagranie i przysłać do nas materiał. Dokonamy wstępnej selekcji, a laureata wybierzemy spośród 10 finalistów podczas festiwalu. Będą filmy, dyskusje, oczywiście muzyka. Sprowadzam też z Berlina sekcję, która nazywa się Kino kulinarne. Parę lat temu byłem jurorem we Włoszech podczas festiwalu filmów o *slow food*, czyli o jedzeniu natchnionym. Jest spotkaniem i jednocześnie po prostu jedzeniem ugotowanym ze zdrowych produktów. To ma być źródło życia, a nie destrukcji. Zachwyciła mnie ta idea, chciałbym ją upowszechniać.

Jaka jest twoja definicja sztuki? Jest coś takiego jak sztuka prawdziwa?

– Pytanie brzmi, czy prawdziwa sztuka to ta, która służy małej grupie osób, czy ta, która porusza serca milionów? Jaka jest jej misja i funkcja? Ameryka nauczyła mnie, że komunikatywność jest niezbędna, że artysta nie może ignorować reszty świata. Dla mnie geniusz objawia się wtedy, kiedy mówimy mądrze, pięknie, w sposób wyrafinowany i jednocześnie trafiamy do dużej publiczności. Odrzucam wąskie, hermetyczne przedsięwzięcia, które cieszą kilkaset osób. Nie mówię, że one są złe i nieważne. Z pewnością mają wartość, ale ja już jestem produktem Ameryki i chcę, żeby

mój film pokazywany był w Teheranie i Rio de Janeiro. Świadomość, że ktoś gdzieś na drugim końcu świata reaguje na mój film, jest nagrodą za wysiłek, który trzeba włożyć w to, by pogodzić wartości z szeroką komunikacją. Jestem od tego uzależniony, jestem narkomanem, który tej nagrody nie umie, nie chce sobie pozbawić. Dlatego unikam małych projektów, wolę angażować się w pracę nad filmami adresowanymi do wielomilionowej publiczności. Nie wierzę, że publiczność to wielka, głupia masa, którą można ignorować. Trzeba umieć dać jej coś, co ją poruszy, a co jednocześnie będzie mówiło o rzeczach istotnych. W Ameryce stał się cud. W telewizji, jeszcze 10 lat temu niezbyt mądrej, zaczęły się pojawiać wybitne filmy, seriale ze świetnymi dialogami i tematami wykraczającymi daleko poza poprawność polityczną. Nagle medium przekłete przez intelektualistów zaczęło być źródłem inspiracji, myśli, klasy. Miejsce, gdzie artyści mogą się spełniać.

To może i w Polsce tak się stanie?

– To się tak łatwo nie pojawi. W Stanach jest bardzo dużo świetnie piszących ludzi, scenarzystów, którzy dzięki grupie błyskotliwie myślących menedżerów zostali zaproszeni do zabawy. Ten fenomen objawił się w telewizji kablowej – ona nie działa pod presją reklam. W Polsce, żeby poprawić poziom filmów, trzeba przede wszystkim trenować pisarzy. Pisanie jest konkretnym zawodem. Trzeba go codziennie praktykować, ostrzyć sobie narzędzia, ulepszać warsztat. Dobry tekst to punkt wyjścia do pracy nad filmem.

Po co ci ten festiwal? Masz silną pozycję, mógłbyś zajmować się tylko swoją twórczością.

– Mam jakiś głód, potrzebę zaangażowania się, robienia czegoś dla innych. Dla mnie artysta musi być osobą kompletną, a więc kimś, kto wychodzi poza swoją dziedzinę, interesuje się różnymi aspektami życia i rozumie je.

Jeśli zamknijemy usta i skupimy się tylko na swojej wąskiej specjalizacji, będzie to początek końca. Musimy mieć świadomość, że w ten sposób bierzemy udział w cichej destrukcji świata. Nie przesadzam. Milczymy, kiedy powinniśmy zabierać głos, oddajemy innym pole do działania, decyzje mające wpływ na nasze życie. Sami też więdniemy, bo jeśli nie biorę udziału w dyskusjach, przestaje mnie interesować cokolwiek poza muzyką, mój umysł staje się otępiały, rozumiem coraz mniej, moje poglądy stają się dziwaczne. Nie chcę być ekscentrykiem, który może opowiadać głupoty, bo chroni go etykieta artysty.

Zgodziłeś się, aby na otwarciu polskiej prezydencji w Unii Europejskiej napisać koncert, który wszyscy znamy, a którego nikt nie słyszał: koncert Jankiela. To karkołomne wyzwanie.

– Na zamówienie Instytutu Adama Mickiewicza podejmę dla kompozytora temat śmiertelnie niebezpieczny. Wierna rekonstrukcja koncertu Jankiela byłaby samobójstwem. Nie zamierzam go popełniać. Posadzę Jankiela na współczesnej scenie i on będzie komentował swoją muzyką to, co dziś się dzieje. Chcę, żeby dotykał świeżych spraw. Na cymbałach będą grać Białorusini albo Rosjanie, bo u nich tradycja gry na tym instrumencie jest ciągle żywa. Będzie trójka cymbalistów i solista. Dla wyrażenia treści, które wykraczają poza dźwięk cymbałów, a u Mickiewicza mieszczą się w słowach, użyję orkiestry – Sinfonii Varsovi. Dyrygował będzie Marc Minkowski. Taki to będzie koncert Jankiela.



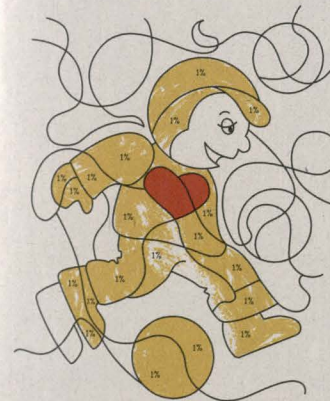
Zobacz i posłuchaj, co Jan A.P. Kaczmarek mówi o festiwalu Transatlantyk, na www.przekroj.pl oraz w „Przekroju” na iPadzie



nastaw się na chill out

Chilli ZET.
Radio w pogoni
za kulturą
www.chillizet.pl

REKLAMA



1% MA MOC TWORZENIA

Przekaz swój podatek na rehabilitację dzieci z „Helenowa” w Międzyzlesiu.

KRS: 0000114345

cel szczegółowy: „HELENÓW”

WWW.HELENOW.PL





Wirus nauki grasuje w galerii

W Toruniu można odbyć wycieczkę w przyszłość. Przewodnikami są artyści. Aby pokazać, co nas czeka, mieszają sztukę z nauką

STACH SZABŁOWSKI

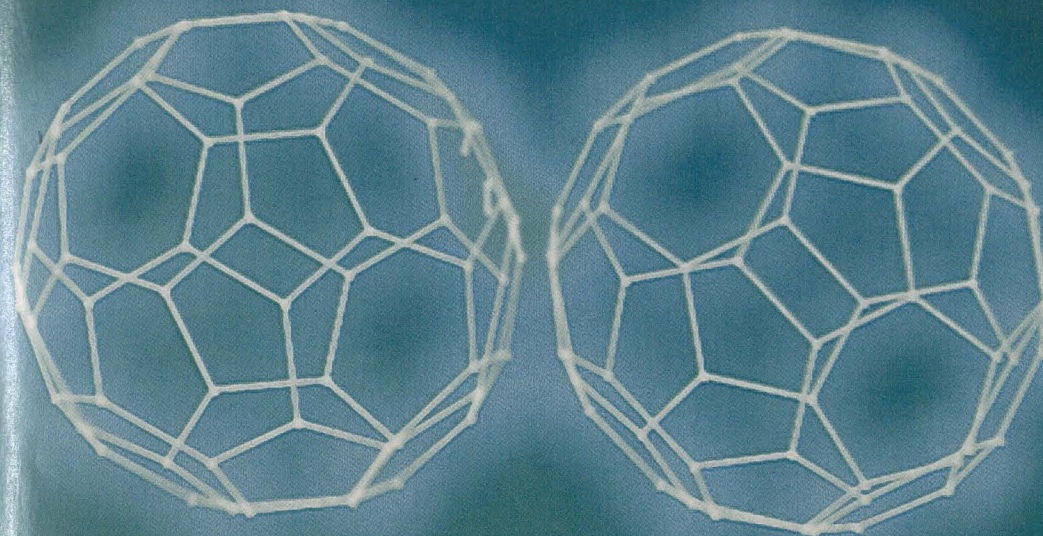
Ziemia jest statkiem kosmicznym, a my jego pasażerami podróżującymi przez bezkres kosmosu – metafora stworzona przez Amerykanina Buckminstera Fullera od lat 60. XX wieku służy kolejnym pokoleniom wizjonerów. W Toruniu ich śladem idzie Dobrila Denegri, kuratorka wystawy „Statek kosmiczny Ziemia”. Jeżeli nie chcemy zajeżdżać naszego planetarnego kosmolotu na śmierć, potrzebujemy instrukcji obsługi. Denegri liczy, że taką instrukcję tworzą artyści zarażeni wirusem nauki.

Robić więcej, zużyć mniej

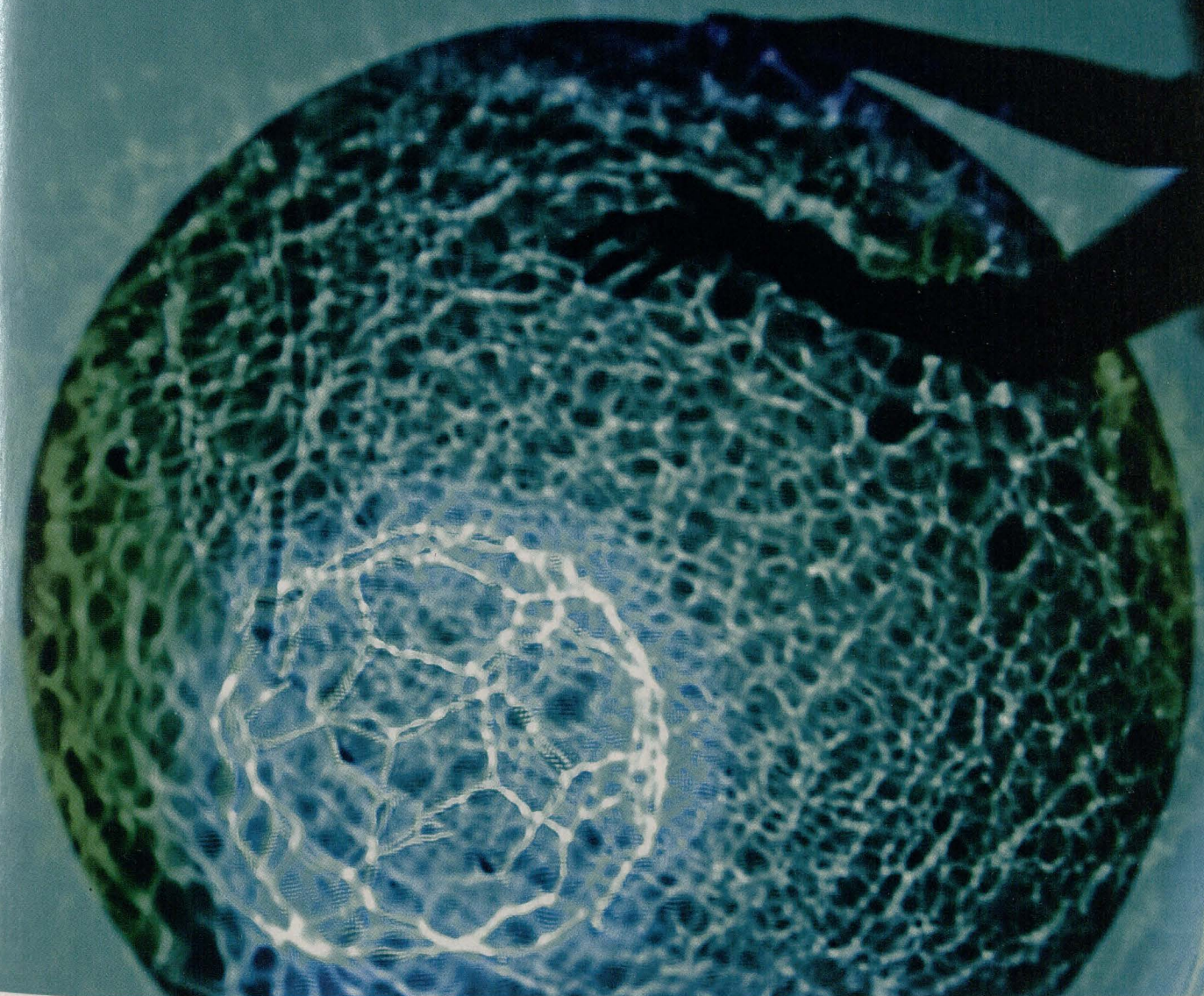
Wchodząc na wystawę w Centrum Sztuki Współczesnej w Toruniu, można pomyśleć, że zamiast w galerii sztuki znaleźliśmy się w jednym z interaktywnych obiektów edukacyjnych typu Centrum Nauki Kopernik. Tutaj prace nie mają „być”, lecz „dziać się”. Zamiast dzieł sztuki artyści prezentują tu rezultaty eksperymentów naukowych albo wręcz zapraszają widzów do ich przeprowadzania. Piotr Kowalski emituje pole elektromagnetyczne. Każdy może wziąć do ręki kolorową świetlówkę. Kiedy wchodzimy w obszar działania pola, świetlówka się zapala, choć nie jest do niczego podłączona. Victoria Vesna współpracująca z chemikiem Jamesem Gimzewskim wyświetla projekcje z modelami cząsteczek. Te filmy są interaktywne, molekuły reagują na ruch widza, który swoimi gestami może je modelować, przetwarzać, dzielić lub łączyć w większe struktury. Martin Rille prezentuje grające ubrania uszyte z zapisanych taśm magnetofonowych. →

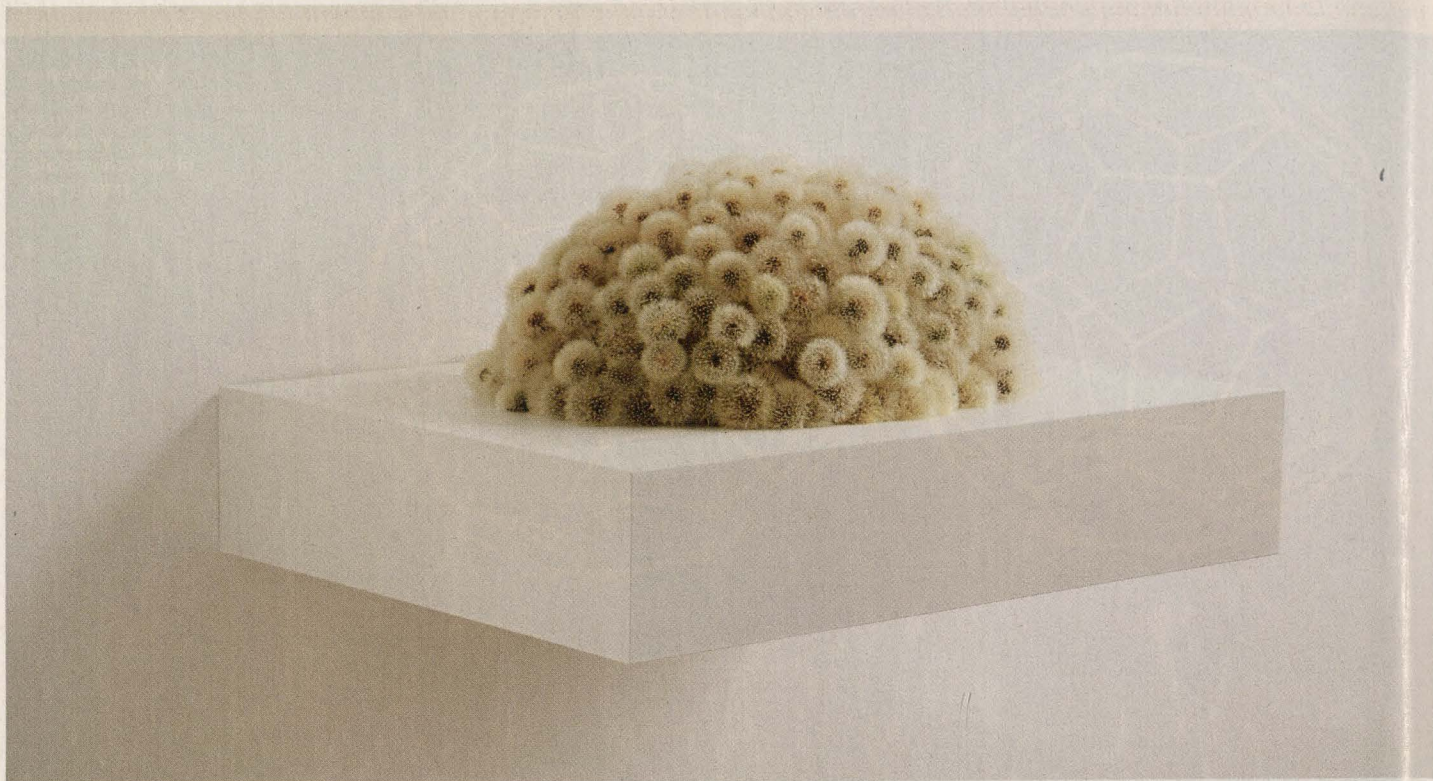


Zapalająca się w rękach widza świetlówka jako dzieło sztuki? Piotr Kowalski udowadnia, że to możliwe



Victoria Vesna proponuje interaktywne filmy. W rolach głównych modele cząsteczek





Christiane Löhr do produkowania swoich rzeźb używa nasion, łodyg, kwiatów, często mleczy („Löwenzahnkissen”, 2009). Nauka miesza się z naturą

→ Wszystkich przebijają jednak Macedończyk Nikola Uzunovski, który skonstruował nadmuchiwane sztuczne słońce. Na dokumentacyjnych filmach widzimy, jak artysta wypróbowuje swój wynalazek na śnieżnych pustkowiach Arktyki, wypuszczając balon (na uwięzi) z przemysłowym lustrem, które przesyła na dół słoneczny blask, gdy prawdziwe słońce jest zbyt nisko, by oświetlać ziemię.

Co to jednak ma wspólnego ze sztuką i z przyszłością? Buckminster Fuller, zmarły w 1983 roku wizjoner, konstruktor i filozof, przeczuwał to, czego dziś jesteśmy pewni: nowoczesny paradygmat nieustannego wzrostu i rozwoju wyczerpuje się – na dłuższą metę „statek kosmiczny Ziemia” takiej jazdy bez trzymanki po prostu nie znieśnie. Musimy sobie wyobrazić przyszłość w inny sposób. Jak wiadomo, specjalistami od wyobraźni są artyści. Sęk w tym, że horyzonty artystycznej imaginacji okazują się o wiele mniej rozległe, niż można się było spodziewać.

Sztuczna chmura

Fuller był utopistą. Kiedy kilkadziesiąt lat temu mówił o artystyczności nauki i naukowym wymiarze zaawansowanej sztuki, mogło się wydawać, że wkrótce obie dyscypliny stopią się w jedno – w uniwersalną dziedzinę kreatywności opartej na wiedzy. Jednak z twierdzenia Fullera sprawdza się tylko jego



Tak Jarosław Kozakiewicz wyobraża sobie ogród botaniczny na terenie wyspiska śmieci koło Wyszkowa



Duet Lucy & Jorge Orta poleca w Toruniu zestaw ratunkowy

pierwsza część, mówiąca, że „im bardziej zaawansowana staje się nauka, tym bliższa jest sztuce”. Współczesne teorie naukowe są coraz bardziej odjechane, abstrakcyjne, dotykające zarówno w skali makro, jak i mikro poziomów rzeczywistości, które dawniej mogły być wyłącznie przedmiotem opartych na wyobraźni spekulacji.

Czy rzeczywiście jednak im bardziej zaawansowana jest sztuka, tym bliżej jej do nauki? Taka myśl wydawała się oczywista przed kilkoma dekadami, kiedy praktyka artystyczna oparta była na koncepcji postępu – co rok wymyślano nowe kierunki, estetyki, bez przerwy poszerzając granice obszaru tego, co artystyczne. Dziś jednak obszar sztuki jest tak ogromny, że jego granice zniknęły z pola widzenia. Sztuką może być wszystko i wydaje się, że „wszystko już było”.

O artystycznym postępie nikt już głośno nie wspomina. Widać to doskonale na wystawie w Toruniu. Alternatywne modele myślenia o przestrzeni, architekturze, designie i ludzkim ciele proponowane przez artystów oparte są na takich pojęciach, jak: mobilność, płynność, wielowymiarowość, sieciowość czy niematerialność. Sęk w tym, że są to koncepcje wypracowane jeszcze w latach 60., do których zresztą Denegri odwołuje się wprost, prezentując takich pionierskich, historycznych twórców, jak: Piotr Kowalski, Aleksandar Srnc czy Gianni Colombo. Twórcy współcześni niewiele mają do dodania. Dzisiejsi artyści nie sięgają wzrokiem ani o krok dalej niż awangarda sprzed kilku dekad. W rezultacie najbardziej nośną metaforą przyszłości zaprezentowaną w Toruniu staje się projekt słynnej architektonicznej pracowni Diller



Cyfrowa mandala Czecha Jakuba Nepřaša

Scofidio + Renfro. W 2002 roku na jeziorze Neuchâtel w Szwajcarii architekci wzniesli niezwykle pawilon nazwany Blur Building. Aby się do niego dostać, trzeba przejść po długiej grobli. Na jej końcu znajduje się platforma o wielkości futbolowego boiska, na której zamontowane są emiterzy pary wodnej. Blur Building to sztuczna chmura. Niematerialny budynek bez ścian zbudowany z gęstego, nieprzejrystego oparu. To wizjonerska architektura przyszłości – takiej, która ginie w nieprzeniknionej mgle.

Wystawę „Statek kosmiczny Ziemia” można oglądać w Centrum Sztuki Współczesnej Znaki Czasu w Toruniu do 22 maja.



Obejrzyj wystawę i posłuchaj kuratorki Dobrii Denegri na www.przekroj.pl oraz w „Przekroju” na iPadzie

MUZYKA

Do przodu, siostró

Czy to Natu, czy Pinnawela, siostry Przybysz wciąż bezkonkurencyjne w polskim soulu

BARTEK WINCZEWSKI

Nie płakałem po Sistars. Mimo to po każdej kolejnej płycie którejś z siostr Przybysz coraz bardziej mam ochotę usłyszeć je znów razem. Nie dlatego, że solo zawodzą. Przeciwnie. Potrzeba było rozpadu ich dawnej grupy, aby obie rozwinęły skrzydła jako autorki, dojrzały jako wokalistki i pokazały pełnię talentów. Jednak po tym, co niedawno usłyszałem u Natu na jej „Gramie duszy”, a teraz na „Renesoulu” jej młodszej siostry, jestem przekonany, że zamiast osobno nagrywać płyty po prostu dobre, razem mogłyby stworzyć rzecz znakomitą.

Jeszcze w szeregach Sistars to właśnie Paulina była tą bardziej otwartą i do przodu. Takie przynajmniej sprawiała wrażenie w porównaniu z bującą w obłokach Natalią.



Młodsza z siostr Przybysz na ścieżce muzycznych poszukiwań

Pierwsze solowe dokonania dziewczyn tylko to wrażenie wzmocniły. Choć obie udanie zadebiutowały, to Pinnawela na „Soulahili” zaproponowała materiał lżejszy, łatwiejszy w odbiorze i bardziej przyjazny fanom Sistars. Jednocześnie wcale nie mniej osobisty, interesujący i poszukujący. Na „Renesoulu” jeszcze więcej jest osobistych wątków – od zawodu miłośnika po narodziny dziecka – i więcej odważnych muzycznych poszukiwań. To już nie

tylko rodzima wariacja na temat ciepłych i wysmakowanych neosoulowych brzmień z Ameryki znanych z płyt Erykah Badu czy Jill Scott. To częściej wyrosły z soulu barwny międzygatunkowy kolaż w duchu Janelle Monáe.



Gospodarz wyjątkowy

Czy to kultura niska urosła, czy też wysoka stanęła mocno na nogach? Pablopavo uciszył akademickie dyskusje i własne dał rzeczy słowo

Owszem, od analogowego, niepościelowego soulu docieramy do elektroniki à la The Streets, a ciężkie, galernicze perkusje idą w parze z depresyjnymi skrzypcami. Ale album pozostaje monolitem – ma swoją dramaturgię, brzmienie i wyjątkowego gospodarza. Pablopavo gra tu rolę oscarową, bo nie gra. Przystał być żonglerem słów, mentorem, niespełnionym varsavianistą, a jamajskie inspiracje, pielęgnowane chociażby w Vavamuffin, schodzą na dalszy plan. „10 piosenek”

to nie artystyczny manifest, lecz pięknie podane życie. „Zupełnie nie pada i nie jest romantyzm, nie, za Paryż robi francuski klucz niesiony przez hydraulika, co chodzi po schodach, a ty mnie wpuść” – prosi autor. Nie ma na co czekać, otwieracie drzwi.

MARCIN FLINT



Pablopavo i Ludziki „10 piosenek”, Karrot Kommando

Waga anielska

Hiszpański renesans nie dostarcza wrażeń porównywalnych z ówczesną polifonią flamandzką czy włoską, jednakże z trzema wyjątkami: Tomásem Luisem de Victorią, Moralem oraz Franciskiem Guerrero. Dorobek tego ostatniego – urodzonego w 1528 roku, a więc rówieśnika Palestriny i naszego Wacława z Szamotuł – przyponi na ośmioosobowy szwajcarski chór Ensemble La Sestina. Serce albumu uczynili czterogłosowa msza „L'homme armé”. Podobnie jak blisko 40 innych mszy z tamtego okresu bazuje ona na zatytułowanej tak samo średniowiecznej i zgoła świeckiej pieśni francuskiej. Jasne i przystępne dzieło pisane przez kompozytora zapewne w czasach młodości uzupełniają cztery motety i garść krótkich canciones. Napisano je na wysokie głosy, są zatem wagi lekkiej czy też zgodnie z tytułem płyty – anielskiej.

MARIUSZ HERMA



Ensemble La Sestina „Francisco Guerrero: The Angel's Voice”, Sony Music

Baaba Kulka i diabeł

Ze swadą i humorem Baaba Kulka wielbi Iron Maiden

Pomysł na płytę z przeróbkami innych artystów jest stary jak sam przemysł fonograficzny. Wciąż jednak rzadkością są takie albumy jak ten. Twórcze, a nie odtwórcze. Nie mogło być jednak inaczej, skoro piosenkami legendy heavy metalu zajęli się muzycy alternatywnej formacji Baaba – w składzie między innymi Bartosz Weber i członek orkiestra polskiego niezalu Macio Moretti – oraz Gaba Kulka, która nawet gdyby zaśpiewała rozkład jazdy PKP, zrobiłaby z tego artystyczne wydarzenie. Cover Iron Maiden w wykonaniu tego kwintetu mienia się odcieniami bossa novy, lambady (tak, tak!), trip-hopu czy smooth jazzu. Nie jest to jednak pastisz, lecz swobodna, erudycyjna zabawa konwencją.

ŁUKASZ DUNA



Baaba Kulka „Baaba Kulka”, Mystic

RECENZJE FILM



Michał (Tomasz Kot) myśli o upływającym czasie i o tym, co z nim zrobił

Errata do życia

„Erratum” to jeden z najlepszych polskich filmów ubiegłego roku: kameralny i intymny

WOJTEK KAŁUŻYŃSKI

Marek Lechki najzasłużeniej dostał za „Erratum” nagrodę na ubiegłorocznym festiwalu w Gdyni. Choć może nie do końca słusznie akurat za debiut, bo przecież już raz debiutował – telewizyjnym wprowadzie, ale jednak pełnometrażowym „Moim miastem”.

„Erratum” to pokoleniowe memento dzisiejszych trzydziestokilkulatków wyrosłych na ideałach kontury, na etosie „być zamiast mieć”, a dziś zupełnie niezauważalnie wtłoczonych w rytm pracy i kariery, w korporacyjne garniturowe tańce na cienkim lodzie, w rytuały życia jak kapitalistyczny bożek przykazał. Lechki konstruuje fabułę tak, by prowadziła do wniosku, że możliwa jest jeszcze errata do takiego życia. Tak prowadzi swojego bohatera Michała (wreszcie naprawdę przekonujący Tomasz Kot), by było to zarazem oczywiste i dyskretne, nienachalne, ukryte w pozornej przypadkowości zdarzeń i spotkań z ludźmi. Przyjacieli ze zbuntowanej młodości pokazuje Michałowi, że można inaczej. Też ma żonę i dziecko, ale żyje w biednie wyremontowanym mieszkanku – swojej niszy. Stać go na luksus

nieudawania, słucha ulubionej muzyki i cieszy się małym szczęściem. Powrót Michała do miejsca urodzenia zmusza go do konfrontacji nie tylko z młodzieńczymi marzeniami, ale także z zapiekłym w zadawionych urazach ojcem (świetny milczący Ryszard Kotys). Pomaga nieszczęście: potrącenie bezdomnego i wędrówka po jego śladach. Z takiej zwyczajnej, opowiadanej już nieraz w kinie fabuły potrafił Lechki wysnuć film delikatny, kameralny, intymny.

Owszem, nie jest on wolny od wad. Wątek rozrachunku z ideałami młodości bywa odrobinę spłycony ilustracyjnymi gestami. Konflikt ojca z synem celebrowany jest nadmiernie i po jakimś czasie przestaje się rozwijać. Ale niezaprzeczalną zaletą „Erratum” jest bezkompromisowość w rysowaniu ludzkich relacji, odbudowywaniu więzi z innymi i z samym sobą, nieoczywistość postaw i wyborów.

„Erratum”, reż. Marek Lechki,

Polska 2010, 90', Best Film, premiera 8 kwietnia

REKLAMA

135 lat

Teatr Polski w Poznaniu

BLISCY NIEZNAJOMI

Europejskie Spotkania Teatralne 11-17 kwietnia 2011

CLOSE STRANGERS European Theatre Encounters

Herosi i Heroiny



www.bliscynieznajomi.pl

RUMUŃSKI INSTYTUT KULTURY

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

www.poznan.pl

POZnań *Miasto know-how

Operowanie teatru

W poznańskim pojedynku Mozarta z Salierim wygrał Szkotak

ŁUKASZ DREWNIAK

Szkotak zmienił swój teatr w dworską operę kameralną: otworzył kanał orkiestrowy, na balkonach posadził skrzypaczki w rokokowych sukniach i perukach, dla chóru przeznaczył cały tył sceny; teatrowi zostało proscenium. Świat, w którym Salieri pojedynkuje się z Mozartem, został ograniczony do salonu, gdzie sztuka styka się z polityką, wchodzi z geniuszem, a podła intryga z niewinnym nonkonformizmem. Na wąskiej koscie gnieździ się trzech dworskich arbitrów elegancji i stylu w muzyce, od których zależy los Amadeusza. Jest tu też tron Cesarza Józefa (Wiesław Zanowicz), komicznej figury – trochę narcyza, a trochę uroczego ignoranta, który pewnie byłby genialnym ekspedientem sklepowym. Rządzenie i mecenat sztuki wychodzą mu jednakowo słabo. Nadwornego kompozytora Salieriego mamy w dwóch postaciach: młody (Michał Kaleta) pcha wózek inwalidzki, na którym siedzi stary (Wojciech Kalwat). Usługując mu jak lokaj, z czułością gładzi go po rękach i włosach, jakby kochał potwora, w którego wkrótce się zmieni. Kaleta jest elegancki, epatuje wystudiowaną charyzmą, podkreśla dyskretny demonizm postaci. Zramolały Salieri Kalwata już nie bardzo pamięta, co czuł i myślał w młodości, ale wciąż słyszy muzykę Mozarta. Jest jak pałacyk oddzieleny od żywiciela. Amadeusz Łukasza Chruszcza to przede wszystkim arogant, pyskawy smarkacz. Mówi tak szybko, jak żyje i komponuje: bez cienia kalkulacji, rozważa i namysłu nad sensem. Szkotak akcentuje nie tyle jego niewinność i bezbronność wobec machinacji salonu, ile zyskiwanie świadomości, że muzyka nie da mu szczęścia i pieniędzy, geniusz nie ocali przed złem świata ani śmiercią.

Spektakl jest świadomą hybrydą gatunkową. Szkotak korzysta ze swojej pasji muzycznej i doświadczeń reżysera operowego. W tkanę dramatu Schaffera wkłada spore fragmenty oper Mozarta: „Uprowadzenia z Seraju”, „Wesela Figara” i „Don Giovanniego”. Konstancja (Katarzyna

na Dalek) i Mozart w połowie małżeńskiej kłótni wykonują nagłą partię z „Czarodziejskiego fletu”: „Papapa-papa-geno...”, i tak soliści stają się nagle postaciami ze sztuki. Osiągnięciem reżyserskim Szkotaka jest to, że w spektaklu nie ma dwóch równoległych opowieści, ale jest nieustanne przeglądanie się w sobie estetyki teatralnej i operowej. A kostiumy z epoki, zwłaszcza kobiece, są tak efektowne, że jedną z kilku sukni Konstancji sam bym założył. Wierzę, że pani Dalek w stosownym momencie mi ją pożyczyci.



Amadeusz (Łukasz Chruszczyk) i Konstancja (Katarzyna Dalek) w małżeńskim duecie

ne, że jedną z kilku sukni Konstancji sam bym założył. Wierzę, że pani Dalek w stosownym momencie mi ją pożyczyci.

„Amadeusz” Petera Schaffera, reżyseria Paweł Szkotak, kierownictwo muzyczne Agnieszka Nagórka, scenografia Jola Łobacz, Teatr Polski w Poznaniu

Czarne perfumy, czarny głos

Anna Czaratorska gra w „Morfinie” Jelenę Bułhakową i... Małgorzatę z Bułhakowa

Stopień trudności: kolosalny. Młoda aktorka z bardzo niewielkim dorobkiem decyduje się na monodram. Małecka scena, raptem kilka rekwizytów, znikąd pomocy, żadnych podpórek. Temat też nie najłatwiejszy. Historia Jeleny Bułhakowej, wielkiej miłości Michaiła, na tle Rosji czasów stalinowskiego terrozu. A jednak Anna Czaratorska lawiruje zręcznie, z wdziękiem omija rafy. Dlatego, że jest piękna i z przyjemnością się na nią patrzy? To też, ale nie to jest najważniejsze. Najważniejszy jest głos aktorki. Jest w nim czarna absolutna.

„Morfinę” na małej scenie warszawskiego Teatru Roma złożona jest z fragmentów dzienników Jeleny Bułhakowej oraz z wymienianych z mężem listów. Tworzy z nich opowieść o miłości pięknej i trudnej, czasami wręcz desperackiej

– o pisarzu i jego muzie gotowej iść z nim do samego piekła. Małgorzata z wielkiej powieści Bułhakowa wiele zawdzięczała Jelenie. Wie o tym Czaratorska i dlatego na małej scenie Romy gra także Małgorzatę, dając nadzieję na przyszłość. Chętnie zobaczyłbym ją kiedyś w tej roli.

Miejsce dla przedstawienia Waldemara Raźniaka wybrano nieprzypadkowo. Anna Czaratorska dała się zapamiętać z dwóch muzycznych spektakli Teatru Współczesnego – „To idzie młodość” i „Moulin Noir”. Śpiewa wspaniale. Piosenki Osieckiej, a także Kofy i jeden utwór Grechuty stają się pełnoprawnym bohaterem widowiska. Bywa, że Czaratorska nadaje im nieoczekiwaną barwę, jak w moich ulubionych „Czarnych perfumach”, kiedy beczelnie prowokuje do pojedynku samego diabła.

W takich drapieżnych fragmentach jest najlepsza. Jej głos, zdecydowany i mocny, wypełnia całą przestrzeń. Wtedy nie boi się krzyku, bywa wyzywająca. W tym siła Czaratorskiej, to powinien być jej kierunek. W „Morfinie” bywa bowiem jeszcze zbyt gładka, chwilami brakuje jej swobody i pewności siebie.

Nic w tym dziwnego, w końcu jest ciągle prawie debutantką. Tak czy inaczej, „Morfinę” może jej pozazdrościć wiele bardziej utytułowanych koleżanek.

JACEK WAKAR

„Morfinę” według Jeleny i Michaiła Bułhakowów, reżyseria, przekład i opracowanie tekstu Waldemar Raźniak, kierownictwo muzyczne Andrzej Perkman, scenografia Paulina Czernel, Teatr Muzyczny Roma w Warszawie



Anna Czaratorska jest nie tylko piękna; śpiewa równie pięknie

27. Przegląd Kabaretów PAKA PAKA ROBI SCENY!

13 - 18.04.2011, CK. Rotunda

Grupa MoCarta

Łowcy.B

Formacja Chatelet

Jurki

Słuchajcie

Hrabi

Piotr Bałtroczyk

Grupa Rafała Kmity

Artur Andrus

Ireneusz Krosny

Smile

Nowaki

Ciach

Limo

Kabaret Moralnego Niepokoju

Dno

Czesuaf

i inni

18.04.11
Kabareton Gwiazd / Kijów Centrum



Iluzja autobiografii

Trzecia książka Łozińskiego odświeża formułę rodzinnej kroniki

MARTA MIZURO

Z zamieszczonych w książkach historii poświęconych książkom najbardziej wbiła mi się w pamięć ta opowiedziana przez Sándora Máraiego w „Ziemia, ziemia!“. Węgierski pisarz wspominał, jak to wrócił do zrujnowanego w czasie wojny mieszkania, gdzie zgromadził ongiś okazałą bibliotekę, i zastał tylko nieznaczne ocalałe woluminy. W tym „Podręcznik pielęgnacji psów rasowych“, który zabral ze sobą na pamiątkę. Ku refleksji na temat nietrwałości przedmiotów.

Tak również, czyli przedmiotowo, podchodzi do książki Mikołaj Łoziński. Jest ona jedną z wielu rzeczy, wokół których koncentruje się jego opowieść. Co nie oznacza wcale, że młody pisarz idzie w ślady innych polskich piewów antyków traktujących pamiętki jako ważny składnik rodzinnej mitologii. Autor „Książki” buduje raczej antymitologię – frapującą histo-



Mikołaj Łoziński był też fotografem. Podobno nawet publikował zdjęcia w „Przekroju”!

rię rodziny żydowskiej, która z powodu dziejowych zawirowań nigdzie nie może się na dobre zakorzenić i z tego samego powodu do niczego przywiązać. Ten brak punktów oparcia rzutuje także na liczne zmiany partnerów życiowych i rozluźnienie więzi łączących członków rodziny. Ostatecznie mają oni jednak tylko siebie, więc wracają. A ich powroty i szczęśliwe wyjście z większości opresji uzasadniają to, że całość utrzymana jest w tona-

cji komediodramatu. Trzecia powieść Łozińskiego (po debiutanckiej „Reisefieber” wydał jeszcze książkę dla dzieci) zainspirowana została jego historią rodzinną. Taka opowieść dla wielu pisarzy staje się bazą do napisania pierwszej książki. By oszukać czytelnika co do stopnia autobiografizmu i spotęgować wrażenie iluzji, że fabuła oparta została na faktach, autor przepłata poszczególne epizody głosami bliskich, którzy bezskutecznie próbują

ingerować w kształt jego zapisków. Doskonały to sposób na odświeżenie formuły rodzinnej kroniki.



Mikołaj Łoziński
„Książka”,
Wydawnictwo
Literackie,
Kraków 2011,
s.180, 32,90

Ta druga Ameryka

Latynoski desant we Wrocławiu

O tym, że tegoroczny Port Wrocław będzie na różne sposoby celebrował jubileusz Tadeusza Różewicza, już w „P” pisaliśmy. Ale na poetyckim festiwalu (jego 16. edycja odbędzie się między 8 i 10 kwietnia) będą się działy także inne godne uwagi rzeczy. Przede wszystkim nad Odrą zjawi się i wystąpi trójka poetów zza oceanu. Naturalizowana Meksykanka (polsko-irokezyjskiego pochodzenia) Ambar Past, Eduardo Lizalde i José Ángel Leyva (oba także z Meksyku) to jedna piąta składu ogromnej antologii Krystyny Rodowskiej, która od kilkudziesięciu lat z talentem i wielkim zapalem spolszcza hiszpańskojęzycznych poetów z tamtej stro-



Goście z Meksyku: Lizalde (u góry), Past i Leyva (po prawej)

ny globu. Wśród piętnastki, dla której znalazła miejsce w tej księdze, dominują nieżyjący i co najmniej trochę już w Polsce znani klasycy (Neruda, Borges, Paz, Guillén, Vallejo, Huidobro),



ale jest też bardzo zajmujący, a niezbyt znany, blisko stoletni dziś Chilijczyk Nicanor Parra. „Umoczenie warg w kamieniu” oznacza więc moc intrygującej lektury.



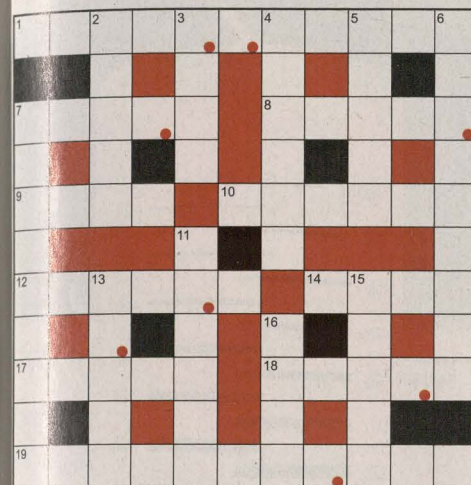
Krystyna Rodowska
„Umoczenie warg w kamieniu”,
Biuro Literackie,
Wrocław 2011,
s. 608, 69 zł

Latynosi nie wyczerpują listy zagranicznych gości Portu Wrocław. Po raz któryś już przyjadą do Polski kapitalny Irlandczyk z Belfastu Michael Longley i frywolny liverpoolczyk Brian Patten. Zresztą także w związku z książkami – tomem „Od kwietnia do kwietnia” Longleya (w przekładzie Piotra Sommera i Bohdana Zadury) oraz Patteny „Teraz będziemy spać, leżeć w bezruchu lub ubierzemy się na powrót” (tłumaczy to Jerzy Jarniewicz, Tadeusz Sławek, Andrzej Szuba i znów Sommer). I to też jeszcze nie wszystkie portowe atrakcje. Wszystko – a nawet jeszcze więcej – na www.biuro-literackie.pl.



KRZYŻÓWKA NR 14

Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą wyraz-rozwiązanie.



POZIOMO:

- PRYZNAJE MEDELE
- POŻEGNANIE Z AFRYKĄ W CASABLANCE
- KRATKA NA MIĘSO
- MOŻE KOJARZYĆ SIĘ Z SUKCESEM
- WYCHODZI Z UBIAKACJI
- ŻARTY
- POSZEDŁ NA STRONĘ
- SŁOWNY CZŁOWIEK
- TONĄ W PODUSZKACH
- OSCAROWE DZIEŁO WAJDY

PIONOWO:

- MĘSKA MODA
- UKOCHANY GAŁCZYŃSKIEGO
- JEŚLI CZARNE MA CZARNA, TO CZERWONE...
- ROZBIERA OKIEM
- WIDOCZNY CZŁONEK
- ROBIŁA CHŁOPOM DOBRZE
- KOŃCZY TANIEC Z GWIAZDAMI
- O BABIE Z BRODĄ
- POTRAWA Z BUTA
- KRZAKI CIERNISTYCH KRZEWÓW

Rozwiąż krzyżówkę i prześlij do nas hasło. Wyślij SMS o treści PRZEKROJ.HASLO KRZYZOWKI na numer 7243. Rozwiązania możesz także przysłać na kartce pocztowej (decyduje data stempla) na adres: „Przekrój”, ul. Nowogrodzka 47 A, 00-695 Warszawa, z dopiskiem: „krzyżówka 14”.

Na prawidłowe rozwiązania czekamy do 10 kwietnia 2011. Koszt SMS-a: 2 zł netto/2,46 zł brutto.

Dane osobowe uczestników konkursu w zakresie: imię, nazwisko i adres zamieszkania, numer telefonu stacjonarnego lub komórkowego, będą przetwarzane przez organizatora konkursu, tj. Wydawnictwo Przekrój sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie przy ul. Nowogrodzkiej 47 A, w celu realizacji umowy przystąpienia do konkursu i jego prawidłowego przeprowadzenia lub marketingu własnych produktów lub usług organizatora konkursu. Gwarantujemy prawo wglądu do swoich danych osobowych oraz ich poprawiania, jak również żądania zaprzestania przetwarzania danych. Podanie danych jest dobrowolne. Dane osobowe nie będą udostępniane innym podmiotom. Regulamin konkursu został wyłożony do wglądu w siedzibie organizatora konkursu.

SKLEP INTERNETOWY

amazonka.pl

książki, muzyka, filmy, gry

Nagrodą za rozwiązanie krzyżówki jest 10 bonów – o wartości 50 zł każdy – na zakupy w sklepie internetowym www.amazonka.pl

Ponad milion tytułów.
Najniższe ceny w Internecie.
Dostawa w 24 godziny

www.amazonka.pl

ROZWIĄZANIA Z NR. 11

Krzyżówka: KONSTANCIN

Poziomo: 1. ODDZICZĄCZ – CYWILIZATOR 7. UCZONY W MUNDURZE – KADET 8. PROWADZI DO SKLEPU – POWIĘ 9. GAZ PRZYCIĄGAJĄCY – NEON 10. POKOJU ZIEMNIANKA – FRYTKI 12. POWTÓRKA Z ROZRYWKI – REFREN 14. UMOŻLIWIA ODBIOR ROKA – KWIT 17. CIENIA W USZACH – BŁONA 18. PSYCHOLOG – SZAMOTANINA

Pionowo: 2. FATALNA MORGANA – WIDMO 3. WYPEŁNIA RÓWY – ŁĄTO 4. MOŻE STAĆ NA WARGIE – ZAPORA 5. LYSO, ALE W OSTROGACH – TUPET 6. NAJLEPIEJ ŚPIEWA

ROTY – ROTMISTRZ 7. IMPONUJĄCY INSTRUMENT – KONTRABAS 11. JEGO KOLEJ – ŻELAZO 13. SAMICA FAUNA – FLORA 15. PODSTĘPY LEŚNE – WYNIKI 16. MINISTERSTWO SPRAW ZAGRANICZNYCH ANGLII – MSZA

Jolka: GULIWER W KRAINIE LILIPUTÓW
Rzędami: CIASTO, SMAKOSZ, LUTY, OBIŁOK, BARANY, OMLET, DZIKI, REKSIDO, APARAT, MALI, CURLING, ARKUSZ
Kolumnami: CHLEBODAWCA, TORNISTRY, SZYBA, INDIANIE, OSOBY, RANGA, WALKOWER, KAMYK, LOJALISTA, SZÓSTKOWICZ

LAUREACI Z NR. 10

Krzyżówka: Wiesława Gromulska, Warszawa; Iwona Jankowska, Zielona Góra; Krzysztof Kidziak, Polanica-Zdrój; Izabela Purzkie, Myszków; Karolina Wierzbowska, Warszawa

Jolka: Urszula Bargiel, Będzin; Katarzyna Kuca, Krzeszowice; Marek Pawlik-Młynarczyk, Wrocław; Marzena Sosnowska, Warszawa; Jadwiga Wójcik, Lublin

JEDNO DANIE ADAMA GESSLERA

Kluski od plebana

Przed wojną w Warszawie w Hotelu Europejskim, w którym dziś mieści się moja restauracja U Kucharzy, było na etacie kilkudziesięciu czyścibutów. Dziś, gdy w nóżnym barze Przekąski Zakąski swoje stanowisko ma pucybut pan Zbyszek, bywa, że przez całą dobę nie ma ani jednego klienta. Przed wojną w Polsce było mnóstwo majątków dworskich i dworów, to ich mieszkańcy promieniowali swoim zachowaniem, kulturą i obyczajem na okolicę. Komuna dwory rozparcelowała. Enklawami przechowywaliśmy tradycję europejskiej kultury przedwojennej we wszystkich jej aspektach – czystości, schludności ubrania, należytego szacunku dla siebie i innych – pozostały plebanie. Tu także przechowywano smaki tradycyjnej kuchni polskiej. Gosposie księży gotowały wspaniale. Ja do dziś pamiętam jeden z tych obiadów jedzonych u „księdza dobrodzieja”, dalekiego kuzyna mamy. To w kuchni jego plebanii gospośnia przygotowała pieczoną gęś z zielonymi kartoflanymi



kluszcami. Gęś jak gęś, ale kluski genialne.

Dwa kilogramy sypkich kartofli ugotowanych w osolonej wodzie proszę utrzeć na tarce, dodać trzy żółtka, dwie łyżki mąki, doprawić pieprzem i solą. Dodać posiekane co najmniej dwa pęczki pietruszki. Wyrobić masę ręką. Ubić gęstą pianę z białek i wraz z dwiema łyżkami tartej bułki dodać do masy. Wymieszać i formować niewielkie kluski. Łyżką wrzucać je do wrzącej osolonej wody, poczekać, aż wypłyną, wyjąć na półmisek, polać solidnie sklarowanym masłem i jeść.

Jedzcie, Państwo, te kluski i czyście buty.

Program „Wściekle gary” Adama Gesslera oglądajcie w soboty o 14.10 w TVP Polonia

KAWKA I PAPIEROSKI



Nowy serial „Kawka i Papieroski” z aktorami kreacjami Iwona Sitkowskiej i Jakuba Bohosiewicza co tydzień na www.przekroj.pl oraz w aplikacji „Przekrój” na iPadzie dostępnej w App Store



ROZWIĄZANIA Z NR. 12

Krzyżówka: GITARZYSTA

Poziomo: 1. ZWIADUJ ZWIADULA – PRZESZPIEGI 7. MOŻNA TAM ZOBACZYĆ KUPĘ ZWIERZĄT – ARENA 8. W TEN DESEŃ – MOTYW 9. CHODZI DO KOŚCIOŁA – KLER 10. BABIA GÓRA – SOPRAN 12. KINO DUCHOWEGO NIEPOKOJU – HORROR 14. NOŚNIK PAMIĘCI – IZBA 17. NACISKA, ŻEBY PRZEPHĄC – LOBBY 18. KRZYCZY NA ULICY – APIS 19. WYCIŚNIE Z CIEBIE WSZYSTKO – KOSMETYCZKA

Pionowo: 2. NA PRZYKŁAD RUMIANEK – ZIELE 3. OBBYTY W SZPI TALU – STAZ 4. SKAZANY NA CZAPE – POMPON 5. NAJWAŻNIEJSZY KLAWISZ – ENTER 6. DOBRZE SIĘ SPIJAŁ – INWENTARZ

11. ROBIĄ PRZEKRÓJ – NOŻYCE 13. PISMO OBRĄZKOWE – REBUS 15. DAJE OGNI NA PŁYCE – ZNICZ 16. SZEROKIE DO PICIA – BARY

Jolka: ZMONITOWAĆ RYMARZA ZA NIEODEŚLANIE WALIZEK (ze sklepowego notatnika Ignacego Rzeckiego)
Rzędami: TURNIE, GWIAZDA, MISTRZ, OAZA, MUMINKI, MIŁA, LITWINI, GŁOS, ZBIORY, ŚWIĄTEK, ANEMIA
Kolumnami: MORALNOŚĆ, UNIA, SZEPTANIE, NOTA, MIASTO, EGZAMIN, ULICZKA, PIZAMA, GILE, CZERNIDŁO, ORKI, MARGINESY

LAUREACI Z NR. 11

Krzyżówka: Jan Gąsiorek, Bielsko-Biała; Iwona Hełka, Wrocław; Teresa Kozłowska, Lublin; Jadwiga Prymaka, Janów Lubelski; Magda Wojaś, Niepołomice

Jolka: Krystyna Kasińska, Kłodzko; Danuta Kiepińska, Toruń; Hanna Szymańska, Wrocław; Maria Wojcik, Warszawa; Andrzej Zaremba, Wrocław



ŁADNE RZECZY

Bądźmy staroświeccy

Czyli jak dzięki woskowi i knotowi nie sknocimy sobie życia

OLA SALWA

Medytacja na dziś: patrz na świecę Lapsang Noir i powtarzaj jej nazwę jak mantrę

Zaczyna się zawsze od myśli, że na wiosnę warto by w sobie coś zmienić. A dokładnie – poprawić. Przełom marca i kwietnia to po 1 stycznia okres największego ruchu w działach postanowień i fantazji o tym, że przeobrazimy się jak Feniks: z dawnych siebie w popiół, a następnie w siebie 2.0. To jest ten moment w roku, kiedy zaczynamy marszobiegi wokół murów naszego zamkniętego osiedla, zawieszamy na miesiąc konto na Facebooku albo w hurtowych ilościach jemy czarną soję, sezam i fasolę, bo przecież wzmacniają nerki, z których płynie życiowa energia. W skrajnych przypad-

kach nasze życie zaczyna przypominać listę obowiązków, do której wciąż dopisujemy kolejne pozycje, licząc, że nowy wspaniały świat zacznie się jutro. Dlatego już teraz zróbmy przewrót wewnętrzny i obalmy tyrana zmuszającego nas do zmiany w kogoś, kim nie jesteśmy. Pierwszym edyktem nowej władzy będzie relaks sponsorowany przez moc żywiołów. I nie chodzi tu wcale o szybki wypad do miejskiego spa, gdzie wszystko z ogromnym napięciem stara się być identyczne z naturalnym (śpiew ptaków i szum drzew płynie z płyty, łagodny blask z energooszczędnych żarówek, a zapach łąki z aromatycznego olej-



Szczęśliwi czasu nie liczą, tylko go rozpuszczają – oto myśl projektowa A1 Studio

ku), a po wizycie w którym rozluźnia się główne stan naszego konta w banku. Tej wiosny stawiamy na wieczorne palenie świec w zaciśnięciu domowego, a jakże, ogniska. Pamiętajmy tylko o odsunięciu na bezpieczną odległość laptopów, bo im spotkanie z płomieniem dobrze nie robi. Zresztą komputery i tak nie są nam potrzebne, skoro mamy się odprężyć, odcinać od zalewu informacji, niepotrzebnych zdjęć, zmian statusów i całej tej nerwowej klikaniny, która do tej pory była treścią naszego wieczoru. I co dalej? Nic, zupełnie nic. Żadnych przymusów, planów, postanowień, obowiązków, tylko czysta przyjemność obcowania z ogniem. Jeśli ktoś zacznie dotkliwie się nudzić, może kupić świecę w kształcie marchewki lub jajka, która na chwilę skupi ze stresowaną brakiem bodźców uwagę. Cisza, ostatnia gasi świecę.

Walcz o lepszą przyszłość ze świecznikiem żołnierzem (do kupienia w sieci W Hotels)



Żar w wersji pierwotnej, czyli świeca Oyule projektanta Sergia Silvy



KRONIKI POPKULTURY

Sen o Lemmym K.

Czyli szkarada na topie



ŁUKASZ ORBITOWSKI

Młodość wiąże się z chęcią bycia kimś innym, człowiekiem z plakatu. Ja pragnąłem zostać Kingiem Diamondem, co jednak wskutek szczęśliwego spłotu losu okazało się zadaniem niewykonanym dla 14-latka – musiałbym zapuścić wąsy, pekaesy do podłogi oraz urznąć sobie to i owo, gdyż ówczesny idol wychwalał diabła piskiem eunucha. Inni mieli jeszcze gorzej, gdyż hip-hop wchodził w fazę heroiczną, składy rymowały na potęgę, lecz nad Wisłą brakowało backgroundu. Kiedy samodzielnie gięli daszki czapeczek, spodni z kolanami w kroku próżno było szukać, więc kupowali szturmówki pięć rozmiarów za duże i rozpaczali, że mimo modłów ich skóra nie robi się czarna i nie przyszła na świat w gettach za oceanem.

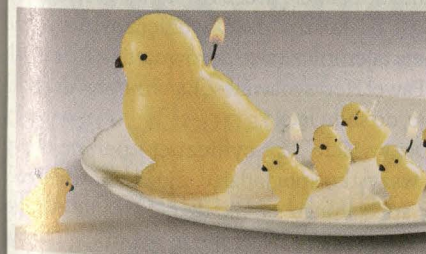
Kim pragną być młodzi dzisiaj, nie potrafię stwierdzić, gdyż nastąpiło odwrócenie mechanizmów. Dzisiejsze gwiazdy zrzucają od młodych, którym wyśpiewują, i pragną się upodabniać do swojej publiczności. Lady GaGa jest chlubnym wyjątkiem, ale już wiem, kim chciałbym zostać, gdybym znów miał możliwość wyboru. W filmie dokumentalnym „Lemmy” (pierwsze miejsce listy „Billboardu”) wszyscy święci rock and rolla kłękają przed tytułowym bohaterem. Metallica zaprasza go na scenę, pan z Nirvany cały dygocze, a Slash (Guns N’Roses) ukrywa łzy wzruszenia za ciemnym szkłem bryli. Sam Lemmy nic sobie nie robi z tych splendorów: w wysokich butach, jak noc szkaradny, w kowbojskim kapeluszu i z petem w obsypanej brodawkami gębie sprawia nieco nierzeczywiste wrażenie. Nosił graty za samym Hendrik-

sem, wyleciał za dragi z rozrywkowego przecież Hawkwind, teraz chrypi w Motörhead i ani myśli przestać.

Jeśli do filmu dorzucimy wspomnienia urzędnego gwiazdora (wydane i w Polsce), wyjdzie kopalnia anegdot przetykana trupem. W Skandynawii Lemmy ze składem zdemolował przyczepę-garderobę, następnie urządził jej pogrzeb w stylu wikingów – podpalił i wepchnął do jeziora. Pewien członek obsługi technicznej uprawiał w szafie seks oralny bierny z fanką, która nie załapała się na gwiazdy, więc gwiazdy z Lemmym na czele odwróciły mebel drzwiami do ściany, boleśnie przedłużając znajomość obliczoną najwyżej na kwadrans. Wreszcie kiedy Lemmy postanowił zadbać o zdrowie i przetoczyć krew, usłyszał od lekarza, że to niemożliwe: toksyn w nim tyle, że zdrowe krwinki niechybnie poniosłyby śmierć w drodze ku jego metalowemu sercu. Te urokiwie anegdotki przeplatają wspomnienia o tych, którzy złożyli życie na ołtarzu dobrej zabawy.

Wygląd Lemmy’ego, jego sposób bycia i wszystkie przygody skłaniają do poszukiwania fałszu: toż on taki naprawdę być nie może, zapewne po koncercie gna do namiotu tlenowego lub leży krzyżem w kościele. Nic podobnego, paradoksy zaś sypią się jak wściekle. Stary gwiazdor rocka jest założniejszy od mokrego kota: Pozd’emu zdolność ruchu wraca wyłącznie pod wpływem kopniaków żony, trudno też stwierdzić, czy Mick Jagger już tańczy, czy jeszcze się trzęsie. A Lemmy’emu wyszło i wygląda na to, że zagra jeszcze na pogrzebie chłopców z Green Day. Życ musi, gdyż po nim nie sposób zostać prawdziwym rockandrollowcem – wypełnił sobą tę starodawną formułę, wziął na wyłączność demolowanie hoteli i Jacka Danielsa. Pisarze i poeci są niespełnionymi gwiazdami sceny: stąd zespoły dowodzone przez kolejnych literatów i idiotyczny przecież pomysł slamu. Sam pragnąłbym być Lemmym, widząc w jego postaci nadzieję na długowieczność bez konieczności wyżywiania się w zdrowiu. „Jakim cudem przeżyłeś to wszystko?” – pyta dziennikarz. Twarz Lemmy’ego nawet nie drgnie przy udzielaniu jedynej właściwej odpowiedzi: „Nie umarłem”. ●

Niszczycielska alternatywa dla skrobienia marchewek, czyli całopalenie świec Fresh Carrot



HO ŁADNIE!

O, kurczę!

Kwoka odchodzi, kurczaczki zostają na talerzu same, a nam się robi miękko w dołku – nawet producenci świeczek Chicky Chicky wiedzą, że do kieszeni konsumentów trafia się przez ich serca. Przed świętami każdy ma piękne wspomnienia związane z rodziną. Kto nie umie się do nich dokopać, zawsze może spróbować metody wyłansowanej przez niejakiego Marcela Prousta, czyli iść do cukierni i zamówić tam magdalenkę (w wersji dla niekochających się rozczulać – magdę), a potem zamknąć oczy i zacząć wspominać...

Grzeczne pensjonarki i kawalerowie
głosili rzeczy znośne intelektualnie,
ale przecież – darujemy sobie frywolne
odczytania – warte uwagi były
i są tylko niegrzeczne pensjonarki
i krnąbrni kawalerowie

21 MARCA

„Młodzi ludzie – piszew „TP” Hartman – przychodzą na uniwersytet i stają przed nami jak zaczarowani. Pograżeni w jakimś umysłowym autyzmie recytują wyuczoną lekcję, ta infantylna opowieść o świecie i życiu nosi tytuł, jakżeby inaczej, »Moje zdanie«. Jest nowa i absurdalna. (...) – Ja mam swoje zdanie, że każdy ma prawo do własnego zdania. – Czyli jakie jest pana zdanie? – No właśnie, że każdy ma swoje zdanie. Ten nie całkiem hipotetyczny dialog streszcza istotę sprawy”.

Czy zjawisko jest istotnie nowe, pewnie nie jestem. Raczej jest stare, tylko w nowe szaty przebrane. Stereotypy są wieczne i niezmienne, ale za modami nadążają zawsze. Staję na głowie, by ominąć doszczętnie zgrany frazes, że wszystko już było, że historia utyskiwania na pustogłową młodzież jest stara jak historia ludzkości, a może nawet ciut starsza. Było nie było – pisz pan: było. Za moich czasów było. Za moich czasów również wyliniały co nieśmiertelny upiór własnego zdania grasośol po ulicy Gołębiej w Krakowie i był nie do zabicia. A jak udało się go gdzieś przegnać, przychodził nowy i bredził identycznie.

„Co do literatury – każdy ma własne zdanie. Jednemu się podoba, drugiemu tamto. Wszystko jest subiektywne, jeśli ktoś uważa »Trędowatą« za arcydzieło, ma do tego takie samo prawo jak ten, co zachwyca się »Czarodziejską górą«. Kicz nie istnieje? Jak ktoś uważa coś za kicz, ma do tego prawo, ale kto inny może to samo uważać za arcydzieło – i też ma do tego prawo”.

Udręczające brednie były tym trudniejsze, a w zasadzie całkiem nie do obalenia, że szło o sztukę, a przecież o gustach się nie dyskutuje; rozum odrzucony, i to dawno. Na szczęście – sam Hartman wprowadził tylko w nawiasie, ale zauważa – odrzucony nie przez wszystkich. A ci „nie wszyscy” rozstrzygają.

24 MARCA

Wspominam epokę egzaminów wstępnych,
chyba kamienia z głów łupanego. Udręczone

komisje siedziały w upale i wysłuchiwały najgorszej i zarazem najpowszechniejszej, bo niczym nicość nieuchwytnej szemraniny; ani przepuścić, ani do końca oblać tych minus trójkowiczów się nie dało. Ale przecież zawsze w tej bezbarwnej masie pojawiały się raz na dzień dwie, trzy, a nawet cztery postacie, które były z innej planety: inteligentne, czytane, bystre, niekonwencjonalne, i o taką młodzież szło i idzie. W nauczaniu uniwersyteckim nie idzie o to, że średni poziom studencki jest niski, idzie o tych parę osób, których poziom jest wysoki. Tylko oni są warci istnienia wyższych uczelni, oni podtrzymują szacowne mury, reszta je wypełnia. Grzeczne pensjonarki i kawalerowie głosili rzeczy znośne intelektualnie, ale przecież – darujmy sobie frywolne odczytania – warte uwagi były i są tylko niegrzeczne pensjonarki i krnąbrni kawalerowie. Ja wiem, że Hartmanowi idzie raczej o powszechny poziom mentalności, o – jak pisze – rzecz metafizycznie ogromną: pustkę. „Pustka pod postacią obojętności, ignorancji, gnuśności podchodzi pod nasze domy jak nocny mróz”. Może i podchodzi, ale jej główną składową nie są studenci, być może jest tam paru pierwszorocznych studentów Profesora, ale aż tak groźni oni nie są. Prawdziwie groźna jest ta pustka, która od dawna panuje w naszych domach, jej sine światło widać w każdym oknie.

26 MARCA

„Trzeba dbać o zdrowie – Hartman przytacza kolejne młodzieżowe stereotypy – i uprawiać sport. Fajnie jest podróżować, żeby poznawać inne kultury. A od polityki lepiej trzymać się z daleka. Bo politycy tylko się kłócą i to do niczego nie prowadzi”.

Brzmi to wszystko fatalnie, choć w końcu – moim zdaniem – jest prawdą. Skąd ta fatalność? Na razie nie mam pojęcia. Zazdrość sportu – za późno i upokorzony starością zszedłem z boiska. Nie znoszę podróży, ale przecież za młodu bywało się tu i ówdzie, oni bywają intensywniej – mówią językami. Nawet

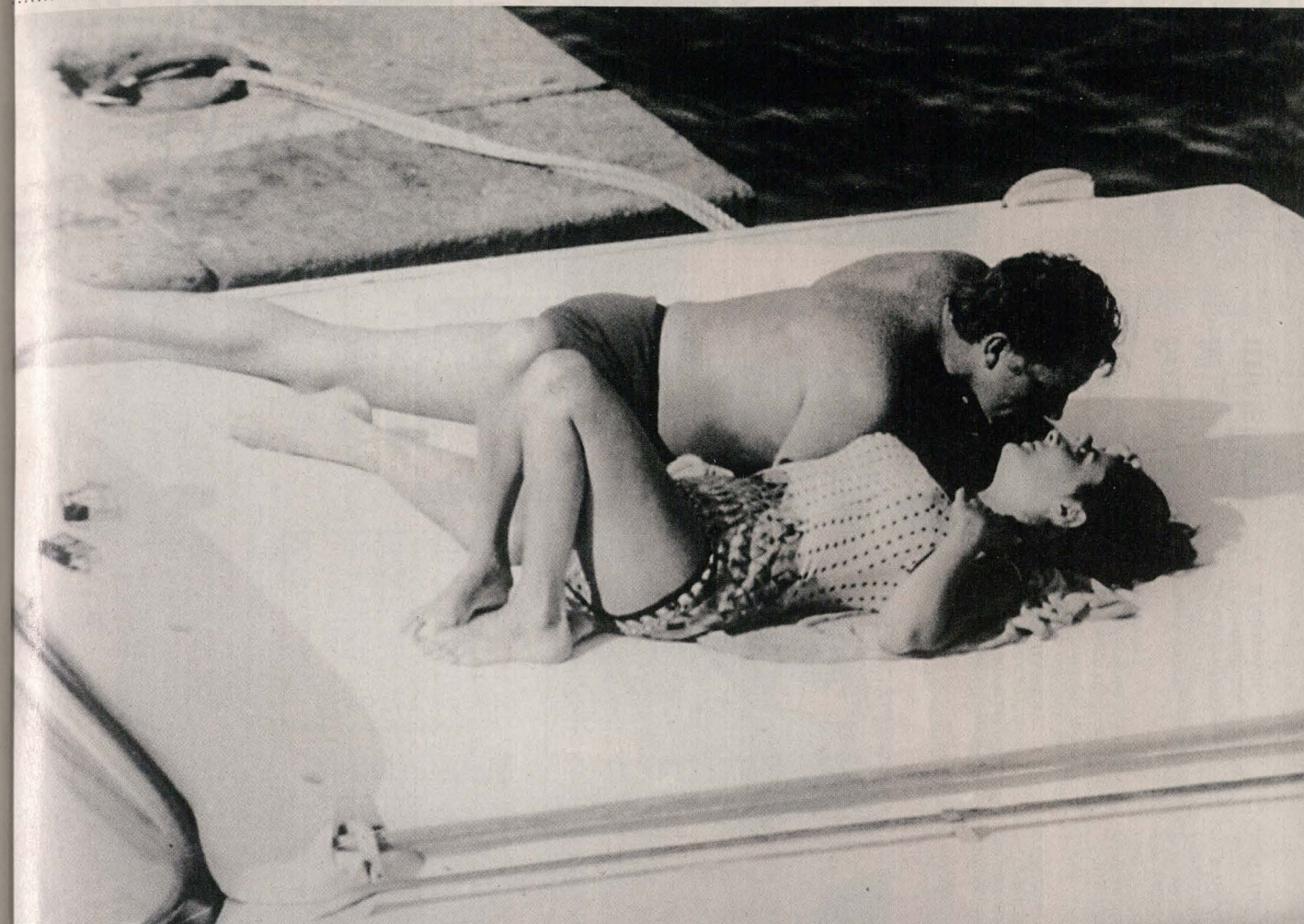
jeśli w tych językach te same banialuki albo nic zgoła nie mają do powiedzenia, jest w tym jakiś postęp. Banał po angielsku, a zwłaszcza po francusku, brzmi ciut głębiej. Polityka? Mój Boże! Aż tak dowcipny, by powiedzieć, że politycy zły przykład młodzieży dają, to ja jednak nie jestem.

27 MARCA

Politycy furda, a nawet drobiazg. Ale jakż przykład i jaki terror własnego zdania z literatury, z poezji, i to najwyższej, bo wieszczej, płyniel To znaczy nie tyle z samej poezji, ile z jej traktowania. Złego, bardzo złego. Okazuje się, że Polska to jest taki kraj, w którym każdy może mieć swoje zdanie – z wyjątkiem tych, którzy mają specjalne upoważnienia do posiadania własnego zdania, z wyjątkiem poetów mianowicie. Każdy może co chce gadać, a poeta nie śmie. Wieszcz nie może. Daimonion strofy pocie do ucha szepejący zagrożony jest, i to poważnie, może być nawet dycha i piątka na przytarcie rogów. Wicie, o czym mówię.

Poeta wygłosił własne zdanie na temat Redaktora, a Redaktor, miast – jak to jest w cywilizacji przyjęte – własnym zdaniem odpowiedzieć, w te pędy na komisariat. Zamiast twórczą polemikę tworzyć, meldunek składa! Przeprosin od Poety żąda! Od Poety! Przeprosin! Przecież od Poety u nas nigdy niczego się nie żąda! Cóż dopiero przeprosin! Poeta, człowiek boży, ma prawo, a może nawet powinien odrzucić precz myślenie! A Redaktor, miast na kolana psać, wzdwiecznym być, że Poeta tajemnicze swe porównania z Różą – jak to Paweł Hertz mawiał – „Laxemberg” doń kieruje, do sądu leci!

Oczywiście z cynicznej perspektywy na wszystko spoglądając, można powiedzieć: nic specjalnego się nie dzieje ani nic takiego się nie stanie. Kary śmierci nie ma, gułagów też nie, na odsiedzenie w kryminale choćby części tego, co kiedyś Redaktor odsiadywał. Poeta też liczyć nie może; pozew – co na dobrą sprawę specjalnie upokarza Poetę – jest cywilny. Na męczeństwo, na przywdzianie krwawej korony nie ma co mieć zbyt wielkiej nadziei. Nawet po kieszeni Poeta uderzony nie zostanie, bo przecież choćby drałoński trybunał parę stówek na PCK Poecie wpłacić kazal. w porównaniu z milionami, jakie teraz Poeta na skaczących nakładach zarobi, to pestka. Swoją drogą i serio rozumieniem wrażliwość Redaktora i jego ludzi zranionych ciemną pieśnią, ale aż taką wielkoduszność okazujących. Aż taką promocję urządzać?



FOT. Dalmas/Camera Press/Bulls

Dolce vita

Historia zdjęcia, bez którego „Kleopatra” z Liz Taylor prawdopodobnie byłaby finansową klapą

KUBA DĄBROWSKI

Rok 1962, trwa produkcja „Kleopatry”, sztandarowego przedsięwzięcia studia filmowego Fox. Mija sześć miesięcy, a nie powstało jeszcze ani jedno porządne ujęcie. Wszystko rozbija się o największą gwiazdę filmu Elizabeth Taylor. Zdjęcia rozpoczęły się w londyńskim Pinewood, ale z powodu brytyjskiej aury aktorka chorowała i notorycznie nie pojawiała się na planie. W końcu udało jej się namówić producentów na przeniesienie planu do cieplejszych i przy-

jaźniejszych Włoch. Egipskie dekoracje lądują więc w rzymskim Cinecittà. Przy okazji przeprowadzki produkcji do głównej roli męskiej Marka Antoniusza Fox angażuje specjalizującego się w historycznych kreacjach Richarda Burtona. Między Burtonem a Taylor wybucha romans. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby obie gwiazdy nie były już w związkach małżeńskich. Gwiazdorska para staje się głównym celem wszystkich działających w Rzymie paparazzi. Aktorzy są nieustannie śledzeni, jeżdżą za nimi vespy, fotografowie koczują pod ich domami. Taylor i Burton pilnują się, by nie afiszować się ze swoim uczuciem. Wszyscy wszystko wiedzą, ale nikt nie ma dobrych zdjęć, żeby udowodnić romans.

Podczas czerwcowego urlopu na wyspie Ischia parę dopada Marcello Geppetti. Weteran plotkarskiego fachu, autor słynnego zdjęcia, na którym wściekła Anita Ekberg celuje do śledzących ją fotografów z łuku. Geppetti robi kochankom zdjęcie w sposób nietypowy dla ówczesnych paparazzi - z ukrycia, teledyktantem. Na przełomie lat 50. i 60. fotografowie tego typu pracowali raczej z bli-

ska, bezpardonowo strzelali gwiazdom lampą błyskową w twarz i uciekali, ile sił w nogach albo mocy w skuterze, często ryzykując bójkę na pięci z fotografowanymi.

Tutaj scenę oglądamy z daleka, ale za to z niespotykaną dotąd intymnością. Gwiazdy nie występują na tym zdjęciu w swoich klasycznych społecznych rolach, w wieczorowych strojach. Nie ma interakcji między nimi a fotografem. Media nie znają jeszcze tego typu spojrzenia, ale z miejsca się w nim zakochują.

Zdjęcia obiegają światową prasę. O romansie dowiadują się małżonkowie kochanków. Burton porzuca Taylor, aby ratować małżeństwo. Ta zaś próbuje popełnić samobójstwo. W tej sytuacji Burton zostawia żonę i wraca do aktorki. Przedłużająca się w nieskończoność produkcja „Kleopatry” o mało nie doprowadza Fox do bankructwa. Na szczęście dzięki obyczajowemu skandalowi zainteresowanie publiczności filmem jest tak duże, że straty udaje się odrobić. W swojej trwającej do lat 90. karierze Marcello Geppetti robi jeszcze wiele podobnych zdjęć. Najślawniejsze przedstawia Brigitte Bardot opalającą się toples. ●

08-17.04.2011
KRAKÓW

Jacek Majchrowski
Prezydent Miasta Krakowa
zaprasza



OFF ^{plus} &
camERA
INTERNATIONAL FESTIVAL
OF INDEPENDENT CINEMA

www.offpluscamera.com

plus &

allegro

PRIVILE BANK - LG GARDA

NOBLE BANK

Mecenasi:

Współorganizatorzy:



kbf



NARODOWY
INSTYTUT
AUDIOWIZUALNY



KrakowFilm
Commission

45^{lat} Stowarzyszenie
Filmowców
Polskich

Stowarzyszenie Sztuki
Niezależnej i Nie Tylko
OFF CAMERA

Partnerzy:

Mercedes-Benz

Sony Ericsson
make.believe

APART
KONCEPCJA WYSTĘPU

Classic

PRZE
KROJ

tvn

ams

onet.pl

tvn24

RACZKOWSKI
NA KONIEC

RETROSPEKJA

Z narażeniem życia
– bo drobnostroje
to paskudne bestie
– wertujemy zakurzone
roczniki „Przekroju”.
Dla Czytelnika
wszystkol

ZABAWECZKA
Oto wieczo pudełko, w
którym znajduje się:
STON
TRABALSKI

ATAKACZYNA ZABAWA DLA
DZIECI Z MASŁA PŁASTYCZNYCH
A dzieci z krwi i koci
kto zabawi?
(Nad.: H. Soszyńska)

„PRZEKROJ” z 11 WRZEŚNIA 1960 ROKU

Archwalne numery
„Przekroju” można
przebrać na
www.przekroj.pl
oraz w aplikacji
„Przekroju” na
iPado i dostępną
w App Store

CO SIĘ STAŁO?
NIE MOGĘ
NAPISAĆ!
NIE MOGI
NIE KANI-
STER!
POPRAWIĄ MI NA:
„NIE MOGI SIĘ
KANISTER.”
NAPISZ!
„MOGI SIĘ
KANISTER.”

MYŚLNIK
KRZYSZTOFA
BILICZY
Wyekspluotowane
kopalne
pomysłów zalana
się wodą.

BRACIA M
BARTOSZ I TOMASZ MIKIEWICZ
www.facebook.com/wilgusierobraty

BYŁE ZAWNEŻ
Ogłoszenie z numeru 60
„Głos Wilegołowski”
z 1977 roku –
miałym małżonko – mam
3 dzieci, dam, 4,5 ha ziemi.
(Nadawca: M. Karłowicz)

„PRZEKROJ” z 13 KWIETNIA 1969 ROKU

PRZEKASZ, NIE
ZADĄNIĘ DOCHODZĘ ZNAJ
MI OJCIEC.

NIE TAK: JANEK KOZA

KIEDY CENA CUKRU
POSZŁA W GÓRĘ
ZAMIĄST CHRZCIĆ
KOKAINĘ CUKREM,
DILEŻY ZACZĘLI
DODAWAĆ KOKAINĘ
DO CUKRU.

„PRZEKROJ” z 5 CZERWCA 1977 ROKU

Występują: niebawale
skrepowany **KLIENT**
oraz kojąco rozluźniony
SPRZEDAWCA.
Miejsce: najlepszy sex
shop w mieście. Rabaty
dla stałych klientów.
Mila i fachowa obsługa.
Intymność

Somewhere.
Między
miejscami

**KINOTEATRZYK
PRZEMKA JURKA**



paradygmatem
mieszkańskiej moralności):
– Czy ja mogłbym prosić
o coś dla... masochistów?
SPRZEDAWCA (w mij):
– Słuchaj uprzejmie.
(Wręcza klientowi
bilety na najnowszy
film Sophie Coppola,
inkasuje należność
i serdecznie poleca się
na przyszłość).
KURTYNA zapada z ulgą.

ROMAN KURKIEWICZ

Gra w szare życie

Tę grę przygotowaliśmy
specjalnie dla jednego
zawodnika. To nowy trend:
jeden człowiek – jedna
gra. Zagra prezes



LEWO
MYŚLISZ

Jest takie opowiadanie Mroźka, w którym bohater sły-
nie z radykalnie obsesyjnej dbałości o nieskazitelną
czystość swoich butów, z których niemal bez przerwy usu-
wa najmniejszy pyłek, zapowiedź okruszka, nie wypusz-
cza szmatki z ręki. Wiedzą o tej jego cenie konstytucyjnej
wszyscy. I nagle w jesienną puchę nasz bohater wychodzi
na ulicę. Idzie. Towarzyszą mu pełne zdumienia i niewia-
ry spojrzenia innych idących. Aż w końcu któremuś wyrywa
się westchnienie: „Niektórzy to lubią przykonne życie...!”
I taka będzie nasza gra miejska dla prezesa.

Przejdzie przez pasy. Tak, tak, tylko wtedy się przechodzi
przez jezdnię. Tak, tak, są ludzie, którzy nie mają służbowej
limuzyny. Nie, nie, nie trzeba iść tylko po białych. To jest
pewien symbol, oznaczenie przestrzeni, na której teore-
tycznie plesi mają pierwszeństwo. Śmiało! Pierwszy krok,
drugi, trzeci, i już jesteśmy po drugiej stronie! Bravo. No,
gdyby wszyscy tak przechodzili jak prezes... Pasy są wybla-
kie, oszczędzają na ludzkim bezpieczeństwie.

Wyprawa do kina. To znaczy – na film. Polski. Trze-
ba kupić bilet. Tak, w specjalnym miejscu, które nazywa
się kasą, w środku siedzi kasjerka albo kasjer, ludzie pra-
cy, czyli studenci. Muszą umieć czytać i pisać. Jaki film?
No polski jakiś. W kinie fotela. Rzędy i miejsca numerowa-
ne. Tak, to normalne, że głośno światło. Niestety to po-
prawia widoczności kosztem bezpieczeństwa. Tak jest za-
wsze w kinie.

Wyprawa na basen. Nie, jednak nie.
Rowerem przez miasto? Nie, jednak nie.
Autobusem? Nie, jednak nie.
Pociągami podmiejskimi? Nie, raczej nie.
Autobusem nocnym? Jeszcze czego!
Pieszko po zmróku? Nigdy!
To ma być gra? To zamach! To prowokacja! Tak się nie da
uprząwiać polityki! Nawet jeśli ktoś jest nieustraszoną.
Księgarnia? Tak, ale incognito, elektorat tego nie kupi.
Zakup bez jednej z bliskich posłanek? Tak, ale bez mani-
festowania męskiej pojedynczości, bez rozgłosu. Sklep dla
zwierząt? Tak, ale ten zaprzeczony.
Trochę komputerka? Owszem, owszem. To jest bardziej
realne, niż kiedykolwiek człowiek swojego pokroju mógł
by się spodziwać. Tak, tak, wirtualne. Może jedno piwko
do tego?

SPRING
SUMMER
2011



vistula.pl

VISTULA
the men's world